

# małolodrze

ZIELONA GÓRA

20 IX — 3 X 1987 R.

ROK XXXI NR 19 [650]

CENA 20 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

## Pasja według Talleyrandów

## JEST GDZIE SIĘ KARB?

## pani dzieciobójczyni z Raculi

## zabita przez pana

## SCENY Mitosne

## VIDEO KLUB

## KOCHANIE NA HARBENDIE

## PRACOWAĆ NA WŁASNY RACHUNEK

ROZMOWA Z CZESŁAWEM GRABOWSKIM — DYREKTOREM NACZELNYM I ARTYSTYCZNYM FILHARMONII ZIELONOGORSKIEJ IM. TADEUSZA BAIRDA.

— Rok kierowania instytucją artystyczną to dość długi, by zbierać doświadczenia i wyciągać z nich wnioski. Jak więc pan po roku pracy w filharmonii ocenia zainteresowania muzyczne zielonogórzan?

— Polski system uowszechniania muzyki, ciągle doskonalony, jest bardzo bogaty, wszechstronny i w zasadzie powinien spełniać oczekiwania tak melomanów, jak i nas, muzyków. Prócz ogromnej ilości społecznych ognisk artystycznych mamy w kraju szkoły muzyczne stopnia pod a wowego i średniego, licea, akademie muzyczne i uczelnie pedagogiczne, a także niemało zespołów profesjonalnych i amatorskich. Wydawać by się mogło, że Polacy jako naród są bardzo muzyczni. Tymczasem sale koncertowe nie są pełne, znajomość muzyki ogranicza się do niewielkiej ilości najbardziej popularnych utworów. Zastanawiałem się wielokrotnie, gdzie szukać przyczyn tych niepokojących zjawisk. Otóż, moim zdaniem, błąd tkwi między innymi w tym, że w polskim wszechnym wychowaniu szkolnym za mało miejsca poświęcamy muzyce, sztuce w ogóle. Nie wpajamy w młodych niezbędności obcowania z dobrami kultury, które przecież sprawiają, że nasze życie staje się nie tak przyziemne, lecz bogatsze i piękniejsze. Sytuacja ta dotyczy również uczniów szkół muzycznych, których kontakt z pięknym światem dźwięków niejednokrotnie ogranicza się do mozolnego pokonywania trudności technicznych w uczeniu się gry na instrumentach. Przygoda z muzyką dla wielu kończy się wtedy, gdy nauczyciel stwierdzi, że młody człowiek nie jest Kulka czy Zimermanem. Uczenie się muzyki — to nie może być tylko praca nad opanowaniem instrumentu.

Wracając na nasze zielonogórskie po dwórko, muszę stwierdzić, że mamy pokaźne grono przyjaciół muzyki i filharmonii, co nie oznacza, iż w sali koncertowej brakuje miejsc dla ciągle nowych melomanów. Zielona Góra jest dużym ośrodkiem intelektu

alnym i artystycznym, szczyt się osiągnięciem rangi krajowej. Ta nasza niewielka sala koncertowa każdego piątku powinna być zapelniona.

— A nie jest, jak i widowia teatru, galerii, muzea. Nie wszystko można wytłumaczyć kryzysem ekonomicznym, pogonią za dobrami materialnymi.

— Filharmonia Zielonogórska jest jedyną profesjonalną instytucją muzyczną na środkowym zachodzie Polski. Została powołana po to, by odpowiadać na potrzeby poszczególnych środowisk, melomanów czy ludzi nie przyzwyczajonych do bywania na koncertach. Pamiętając o tym staram się tak układać repertuar, by był on zgodny z oczekiwaniami społeczeństwa i zasada mi polityki kulturalnej. Dlatego nie boję się grać muzyki popularnej, zresztą żadna orkiestra symfoniczna, jeśli szanuje siebie i słuchaczy, nie powinna uciekać od takiej muzyki. Chodzi o to, by grać dobrze. A, myślę, że filharmonicy zielonogórscy grają dobrze, o czym świadczą recenzje prasowe i opinie tych, którzy przychodzą na nasze koncerty. Mamy wielu stałych słuchaczy, bywających także w innych filharmoniach, z uwagą przysłuchujemy się ich głosom. Jeśli narzekam na za mało zainteresowanie muzyką w Zielonej Górze, to tylko dlatego, że chciałbym występować w salach pełnych, grać często i dużo, ale prawdę mówiąc, w Zielonej Górze nie jest gorzej niż w innych ośrodkach.

— Objął pan filharmonię po docencie Szymonie Kawalli, prężnym organizatorze i działaczu społecznym, propagatorze muzyki, jakich niewiele w Polsce. Czy przeszkadza to w realizacji koncepcji, z którą przybył pan do Zielonej Góry?

— Chyła głowę przed znakomitym dyrektorem Kawallą. Wiele jego inte-

Ciąg dalszy na str. 4



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

Czesław Grabowski: — Mamy pokaźne grono przyjaciół muzyki.

## ŚWIAT W JAKIM ŻYJEMY

Wrzesień jest miesiącem, który nasstraja zwykle do szczególnych rozważań. Przypomina on bowiem, że przed 48 laty w tym właśnie miesiącu rozpoczęła się najkrwawsza w dziejach ludzkości wojna, która pochłonęła ponad 50 milionów ofiar, uczyniła kalekami niemal 100 milionów ludzi a straty materialne oraz morze cierpień, jakie przyniosła — są wręcz niewyobrażalne.

Wydawało się więc, że nigdy już nie zabrzmi sześć oręża, że ludzkość tak straszliwie doświadczona, nauczy się wreszcie żyć w pokoju. Tymczasem według danych opublikowanych przez Londyński Instytut Badań nad Pokojem, w latach 1945-1986 świat przeżył ponad 150 wojen (na szczęście tylko tzw. lokalnych, bo jedna „globalna” oznaczałaby unicestwienie naszej planety), ale i te lokalne kosztowały miliony ofiar, obróciły w perzynę tysiące miast i wsi, niosąc śmierć i pożogę.

Biorąc z kolei do ręki rocznik znanego sztokholmskiego Instytutu Badań Strategicznych (SIPRI). Czytam w nim, że w samym tylko 1986 roku prowadzono na świecie 36 lokalnych wojen i konfliktów. Trwała i trwa nadal przerażająca i wyniszczająca wojna iracko-irańska, w wyniku której cały rejon Zatoki Perskiej stał się jedną wielką beczką prochu, grozącą w każdej chwili nieobliczalnym w skutkach wybuchem, płonąc w Ameryce Środkowej, rejon bliskowschodni wciąż kipi starciami zbrojnymi, rozgorzał konflikt libijsko-czadyjski, pogranicze afgańsko-pakistańskie jest ciągle jednym wielkim obozowiskiem wojennym itd., itp. O ironio, działo się to w tym samym 1986 roku, który Organizacja Narodów Zjednoczonych uroczyście ogłosiła Międzynarodowym Rokiem Pokoju!

W tymże 1986 roku świat poblił kolejny rekord wydatków przeznaczonych na zbrojenia. Przekroczyły one mianowicie astronomiczną sumę 1 biliona dolarów. Tak się lekko mówi — biliona, a jest to przecież tysiąc miliardów, które mogłyby być z takim pożytkiem wykorzystane dla jakże jeszcze wiele potrzebującej ludzkości. Oznacza to, że ta właśnie potrzebująca ludzkość, z której około miliarda permanentnie głoduje, wydaje na zbrojenia, co minutę prawie 2 miliony dolarów.

W swoim posłaniu zwróconym do niedawnej nowojorskiej konferencji „Rozbrojenie i rozwój” sekretarz generalny Narodów Zjednoczonych pisał: „Świat może albo kontynuować wysięg zbrojeń z dotychczasową intensywnością albo też posunąć się świadomie ku bardziej stabilnemu i wyrównanemu rozwojowi społecznemu i gospodarczemu. Ale nie jest możliwe jedno i drugie... Wysięg zbrojeń i rozwój są rywalami nie do pogodzenia”.

Wybitny ekonomista Augusto Vargas stwierdza ze swej strony, że wysięg zbrojeń i brak rozwoju, to nie są dwa różne zagadnienia. To jeden i ten sam problem. Trzeba je rozwiązać jednocześnie albo też żaden z nich nie dozna sukcesu. Na ten właśnie aspekt sprawy zwraca uwagę memorandum państw socjalistycznych oraz osobiste posłanie gen. Jaruzelskiego i Michaiła Gorbaczowa skierowane do wymienionej konferencji.

Równie ważnym, jeśli nie ważniejszym elementem jest zasadniczy fakt — decydujący o przyszłości ludzkości, że tylko zdecydowane kroki rozbrojeniowe mogą uchronić świat przed ewentualnością katastrofy. Stąd kapitalne propozycje radzieckie, raz jeszcze sformułowane w trakcie spotkania Shultz — Szewardnada — Reagan — otwierające po raz pierwszy w powojennych dziejach drogę do zawarcia zasadniczego porozumienia rozbrojeniowego, w pierwszej kolejności — w sprawie rakiet średniego zasięgu. Stojące tu na przeszkodzie stanowisko RFN zostało wprawdzie ostatnio zmodyfikowane, ale jak stwierdza oświadczenie rządu polskiego, tylko pełna i bezwarunkowa rezygnacja z rakiet „Perishing-1A” otwiera definitywnie drogę do porozumienia. O tym, że z ziemi niemieckiej nie może nigdy więcej wystąpić zagrożenie, podkreślił dobitnie podczas swej wizyty w RFN Erich Honecker. Nadechodząca zaś wizyta wiceprezydenta USA Busha w Polsce jest m.in. świadectwem tego, że polskie inicjatywy pokojowe, a przede wszystkim „plan Jaruzelskiego”, wysuwają znów nasz kraj na czołowe przedpoli polityki światowej.

MICHAŁ HOROWICZ

## Zespół Redakcyjny „Nadodrza”

Trzydzięci lat działalności Waszego pisma, tak zasłużonego dla rozwoju Ziemi Lubuskiej, przyniosło piękny i znaczący dorobek.

Redakcja „Nadodrza” skupiała zawsze ludzi będących nie tylko doskonałymi pisarzami, ale także aktywnymi działaczami społecznymi, szczególnie zainteresowanymi losami swego regionu. Dlatego właśnie z kręgów „Nadodrza” wyszło tak wiele cennych inicjatyw, których realizacja przyczyniła się do wzbogacenia pejzażu kulturalnego obu naszych województw, w tym środowisku rodziły się ciekawe pomysły oraz wartościowe dzieła artystyczne.

Serdecznie gratulujemy Wam wszystkich osiągnięć, a zwłaszcza tego, że zdobyliście stałych i wiernych czytelników, bez których żadne pismo nie może istnieć.

Życzymy Wam dalszej owocnej działalności oraz wszelkiej pomyślności i sukcesów.

Wojewoda Gorzowski  
STANISŁAW NOWAK

I Sekretarz KW PZPR  
WIKTOR KINECKI

Wojewoda Zielonogórski  
ZBYSZKO PIWONSKI

I Sekretarz KW PZPR  
ZBIGNIEW NIEMIŃSKI

Gorzów Wlkp., dnia 5.09.1987 r.

Zielona Góra, 05.09.1987.

## Zaodrza

### Mieszkańcy „Kotliny nieświadomości”

W sytuacji, gdy od 15 już lat 85 proc. z 17 milionów mieszkańców NRD ogląda dwa zachodniemieckie programy telewizyjne, Drezno, miasto położone w kotlinie Łaby znajduje się poza zasięgiem telewizyjnego sygnału z Zachodu. Rzecznik miejscowych władz, Siegfried Seibt stwierdził, że brak możliwości od biuro tych programów przez mieszkańców „dolin nieświadomości”, jak się ich tutaj nazywa, powoduje, że mieszkańcy okręgu drezdeńskiego wytworzyli sobie nierealny, różowy obraz życia na Zachodzie. Ta sytuacja sprawia, że z tego rejonu pochodzi więcej niż przeciętnie wniosków o wyjazd na stałe do RFN.

Niektórzy utrzymują nawet, że kiedy mieszkańcy NRD wyemigrują lub przekroczą nielegalnie granicę z RFN, tamtejsi urzędnicy już po dwu minutach rozmowy z nim mogą powiedzieć czy pochodzi z Drezna. „Problem polega na tym, że mieszkańcy Erfurtu, czy Lipska żywią mniej iluzji na temat warunków pracy i życia w Niemczech Zachodnich, niż to ma miejsce w przypadku mieszkańców Drezna — powiedział S. Seibt. — Tylko człowiek mieszkający w „kotlinie nieświadomości” może mieć takie złudzenia”.

Obecnie władze w NRD, które dotychczas starały się ściśle kontrolować potok informacji, zaakceptowały, jak się wydaje, programy w stylu zachodnim po zorientowaniu się, że mogą one wyświadczyć nie byle jaką przysługę w przyciemnieniu blachy Zachodu. Panu je przekonanie, że nikt inny nie jest w stanie tak jak same kapitalistyczne środki masowego przekazu, informować o ciemnych stronach ustroju kapitalistycznego — o przestępczości, bezrobociu, inflacji, skandalach. „Nie niepokoiły się faktem przepływu do nas informacji z Zachodu. Wręcz przeciwnie, uzupełniają one nasze programy informacyjne i są najlepszym źródłem informacji dla naszego społeczeństwa” — zaakcentował S. Seibt.

NRD, która już od wielu lat produkuje specjalne telewizory zdolne pracować na odmiennych systemach używanych w NRD i w RFN, wytwarza również specjalne anteny telewizyjne w cenie 2000-3000 marek, czyli kosztujące dwa — trzy razy więcej, niż wynosi przeciętna płaca. „Mam taką antenę w ogrodzie” — poinformował Seibt. Tak więc w sytuacji, gdy nieliczni uprzywilejowani mieszkańcy Drezna mogą za pomocą takich anten odbierać programy w rodzaju „mydlanej” opery „Dallas”, inni muszą czekać. Wiedzą jednakże, że mogą liczyć. „Mam nadzieję, że również ja wkrótce obejrzę „Dallas” — powiedział pewien mężczyzna w średnim wieku. — Wprawdzie mówiono mi, że jest to straszne, ale podobno dobre na sen”.

### Łatwiej wyjechać do RFN

Rośnie ruch graniczny między NRD i RFN. W ostatnich latach znacząco zla godzeniu uległy przepływy regulujące zasady wyjazdów do drugiego państwa niemieckiego. Od kilku lat mogą się tam udawać wszyscy emeryci i renciści, a ostatnio także inni obywatele, w tym również młodzież. Do RFN można pojechać nie tylko w przypadkach losowych, czy w ramach łączenia rodzin, lecz również na zaproszenie krewnych, czy znajomych.

Chętnych do wyjazdu jest wielu, ale nie tak wielu jak wcześniej sądzono. Okazuje się, że z biegiem czasu słab-

na więzi rodzinne, nawet dobrzy przyjaciele nie są już tak sobie bliscy jak dawniej. W Hamburgu mieszka rodzinny mój ojciec, gdzie ostatnio przebywałem — powiedział młody technik z Lipska — nie spotkałem już nikogo z bliskich. Po kilku dniach udało mi się odnaleźć dalszego krewnego. Po krótkiej rozmowie okazało się, że nie ma między nami żadnej więzi uczuciowej. Po kilku dniach wróciłem więc do domu”.

Podobne rozczarowania są udziałem wielu młodych obywateli NRD, którym udało się wyjechać do RFN. Zdaniem Hansa Wernera Schwarza z zachodniemieckiego tygodnika VORWAERTS 95 proc. obywateli NRD nie myśli już o wyjeździe do RFN na stałe. Liczba ludźmi, którzy nadal poważnie myślą o urzędzeniu się w drugim państwie niemieckim kurczy się bardzo szybko. Nawet ci, którzy jeszcze niedawno nosili się z takim zamiarem, zrezygnowali z niego. Obecnie chciałby jedynie mieć prawo do przekraczania granic zachodniemieckiej na podobnych zasadach, jak ich socjalistyczni sąsiedzi z Polski, Czechosłowacji i Węgier.

### Sąd i małżeństwa

Na łamach czasopisma NEUE JUSTIZ zabrała głos prof. Anita Grandke z wydziału prawa uniwersytetu Humboldtów, która stwierdziła, że z uwagi na wysoki wskaźnik rozwodów w NRD, sądy rodzinne powinny obecnie dołożyć większych starań o utrzymanie małżeństw. Odnosi się to szczególnie do rozpraw rozwodowych małżonków, którzy posiadają dzieci.

W trakcie rozprawy należy dążyć do tego — „ażeby rozwodzący się małżonkowie sami przemysłali sprawy i przeanalizowali powody decyzji o rozwodzie. Powinni oni zastanowić się nad kryteriami oceny swojego dotychczasowego małżeństwa w aspekcie jego pozytywnych stron, aktualnego stanu stosunków małżeńskich oraz wypowiedzieć się w obecności sądu przede wszystkim co do tego, w jaki sposób po rozwodzie zostanie zagwarantowany właściwy rozwój dzieci”. Zadaniem sądów jest w tym przypadku zachęcanie i wyrażanie takiego procesu przemysłu. Kiedy sąd wskutek rozmowy wstępnej dojdzie do wniosku, że małżeństwo jest do utrzymania, staje przed zadaniem „doprowadzenia rozprawy pojednawczej do rzeczywistego pojednania”. W tym przypadku istnieje wprawdzie ograniczenie możliwości, ale tym bardziej powinny być one w pełni wykorzystane.

Prof. Grandke podaje, że w roku 1985 w NRD udzielono 51 tys. rozwodów, to jest więcej, niż w jakimkolwiek roku poprzedzającym utworzenia republiki. Podczas, gdy w RFN w r. 1985 na 1000 mieszkańców przypadało 2,1 rozwodów, to w NRD wskaźnik ten wyniósł 3,1 proc.

## Załaba

### Nielegalne finansowanie partii

Nieprzerwanie od sześciu lat w prokuraturze w Bonn, kilku prokuratorów i nadprokuratorów zajmuje się dochodzeniami w sprawie tajnego finansowania partii. Od 1981 r. prowadzono postępowanie w 1854 sprawach. Jednak tylko w niewielkim ich ułamku doszło do wniesienia aktu oskarżenia i do procesu. Cztery osoby postawiono w stan oskarżenia: Lambsdorff, Friederichs, Brauchitsch i Menlego. Przeszło 1000 postępowań zawieszono, ponieważ nie można było udowodnić

## Zespół Redakcyjny „Nadodrza”

Z okazji 30-lecia „Nadodrza” proszę przyjąć serdeczne gratulacje i podziękowania za całokształt działalności informacyjno publicystycznej, literackiej i społecznej, za wkład pracy w rozwój nauki i kultury na środkowym Nadodrzu.

„Nadodrza” od momentu powstania odgrywa w województwie ważną rolę kulturotwórczą. W ciągu minionych 30 lat pismo patronowało wielu ważkim i cennym społecznym inicjatywom, a jego publikacje budziły żywy rezonans nie tylko na Ziemi Lubuskiej. Zasięgą zespołu redakcyjnego jest również podniesienie poziomu kultury intelektualnej i artystycznej w społeczeństwie.

Wyrażamy przekonanie, że zespół redakcyjny będzie w dalszym ciągu pomnażał i wzbogacał to, co w dorobku pisma najbardziej wartościowe i co zyskało mu społeczne uznanie.

Wysoko ceniąc zasługi „Nadodrza” dla rozwoju województwa, życzymy całemu Zespołowi nowych sukcesów oraz przychylności i szacunku Czytelników. Przyjmijcie serdeczne życzenia satysfakcji w pracy dziennikarskiej i literackiej oraz wszelkiej pomyślności osobistej.

### Porażka Czai

Zjazd krajowej organizacji CDU Badenii-Wirtembergii, jednego z najsilniejszych ośrodków chadeckich w RFN, zakończył się małą sensacją — faktycznym usunięciem tylnymi drzwiami z szerszego kierownictwa zarządu krajowego CDU przewodniczącego centrali rewizjonistycznej „Związku Wypędzonych”, Herberta Czai. Na 404 oddanych głosów otrzymał on zaledwie 174 i tym samym znalazł się dopiero na 21 miejscu, na 20 wybranych członków zarządu. Już w ub.r. w czasie kampanii przed wyborczej do nowego Bundestagu, Czaja miał w swym okręgu wyborczym w Badenii-Wirtembergii duże trudności z wpisaniem się w ogóle na listę kandydatów chadeckich do parlamentu. Trzeba było dopiero presji i zakłęk najwyższej góry partyjnej, by delegacji ustąpili i zgodzili się na kandydaturę Czai. Tym razem jednak Czaja, który z pewnych pozycji wystawił swą kandydaturę do zarządu, poniósł kompromitującą porażkę. W centrali rewizjonistycznej „Związku Wypędzonych” zostało odebrane jako ciężka porażka. Wotum nieufności dla Czai zasmuciło również całe skrajnie prawicowe skrzydło chadeckie.

### Sesja kuratorium

### Niepodzielne Niemcy

Przywrócenie jednoci Niemiec w najbliższym czasie nie jest możliwe, a w przyszłości będzie możliwe tylko w ramach europejskich. Ta teza przewijała się we wszystkich wystąpieniach na dorocznej roboczej sesji Kuratorium Niepodzielne Niemcy. „Das Parlament”, który z dużym opóźnieniem zamieścił informację o tej sesji zorganizowanej w gmachu Reichstagu w Berlinie Zachodnim, zwraca uwagę na „dużą zgodność poglądów między przedstawicielami bońskiej koalicji rządowej i opozycji”.

### Policja i stręczyciele

Dolna Saksonia słynie ostatnio z afery kryminalnych. Dopiero rok temu okazało się, że policja kryminalna i polityczna tego kraju zorganizowały w 1978 roku zamach bombowy na więzienie w Celli dla umieszczenia tam agenta, zresztą kryminalisty, infiltrującego terrorystów zachodniemieckich. Wtedy sytuację uratował premier rządu krajowego Albert (CDU) przyjmując osobście odpowiedzialność za ten czyn. Dopiero niedawno zakończyła dochodzenie specjalna komisja parlamentarna, która stwierdziła, że czołowy tajny agent policji politycznej tego kraju związkowego — Maus wykorzystał swe powiązania z policją dla stworzenia całej organizacji stręczycielskiej, sprawdzającej dziewczyny z całego świata do RFN, gdzie zmuszono je do nierządu, a już wybuchła nowa afera. Były szef policji kryminalnej z Burghardu koła Hannoveru udowodnił przed sądem, gdzie wniósł skargę przeciwko swemu zwolnieniu ze służby, że „ludzie z najwyższych kręgów krajowej policji i administracji — w okresie ostatnich kilku lat byli gośćmi przestępców kryminalnych w domach publicznych, biorąc udział w orgiach z alkoholem i kobietami”. Skarżący komisarz Knocke stwierdził, iż podległy mu funkcjonariusz pracuje z agentem o nazwisku Wittenbrink, właścicielem sieci domów publicznych i ciągnie z tej współpracy korzyści osobiste w formie urlopów w willi Wittenbrinka w Hiszpanii, datków pieniężnych itd. Knocke stwierdził dalej, że wiadomości uzyskane od agenta przedstawiają dla policji minimalną lub żadną wartość. Do tego momentu dochodzenie Knocke było popierane przez jego władze. Gdy jednak udowodnił, że Wittenbrink jest sąsiadem i współnikiem w interesach stręczycielskich pułki rządowego Mause, został natychmiast pod pozorem fałszywego rozliczenia delegacji karnie wyrzucony z policji dolnosaksońskiej. Obecnie sąd administracyjny w Hannoverze to zwolnienie uchylił i przywrócił go do służby. Agencji — stręczycielki pracują dalej dla władz Dolnej Saksonii.



Z zielonogórskiego konkursu na rysunek satyryczny pt. „Prasa”  
Rys. JERZY LIPIEC

— Panie doktorze, istnieje około stu definicji historii, a czym dla pana jest ta nauka?

— Historia jest dla mnie pewnym ciągiem wydarzeń, łańcuchem przyczyn i skutków, które wpływają w mniejszym lub większym stopniu na nasz los. Jest nie tylko pewnym obrazem przeszłości, ale też dniem dzisiejszym, gdyż nawet to, co działo się kilka minut przed naszym spotkaniem, jest już historią. Istnieje historia w różnych formach, jej wytworem jest również człowiek, choć człowiek także tworzy historię. Głównymi sprawcami historii są masy ludzkie i ruchy społeczne, lecz jednostka też wywiera duży wpływ na przebieg dziejów, oczywiście jednostka o umiejętności oddziaływania na masy, jednostka charyzmatyczna.

niesprawiedliwych mitów i legend powstałych już po ostatniej wojnie, powsta nowilem prostować te wypaczenia. Praca ta bardzo mnie wciągnęła, aż do granic naukowego bezpieczeństwa. A już mój nauczyciel akademicki, profesor Jan Chodera ostrzegał, że łatwo przy swoich fascynacjach zatracić obiektywizm. I tak było faktycznie. Moja praca doktorska dotyczyła niemieckiego pisarza Erwina Guida Kolbenheya. Profesor mawiał, że tak mnie zafascynował ten znakomity pisarz, iż moja praca z krytycznej stała się apologetyczną. Podobne niebezpieczeństwo istnieje przy opracowywaniu innych materiałów historycznych.

— Jeśli mowa o fascynacjach i Talleyrandach — podobno korespondował

nym w ustawie terminie przejmujemy akta z tych urzędów na wieczyste przechowanie.

— Czy znajduje się tu też historia sprzed kilku lat?

— Historia sprzed 25-30 lat. Materiały udostępniamy dopiero po trzydziestu latach od ich powstania.

— Czy pańskie archiwum kryje przed panem jakieś tajemnice?

— Zdarza się, że takowe odkrywamy. Do połowy lat 60-tych nie wiadomo, że wśród tysięcy jednostek archiwalnych znajduje się unikatowy, oryginalny list Stendhala.

— Czego dotyczy ten dokument?

— Jest to w zasadzie rewers dotyczący wypożyczenia kilku książek z biblioteki zagańskiego pałacu Stendhal jako urzędnik napoleoński przebywał jakiś

## PASJA WEDŁUG TALLEYRANDÓW

Rozmowa z dr. Jerzym Piotrem Majchrzakiem

Istniała pewna postać, która fascynuje mnie od wielu lat — księżna Dorota Talleyrand — która powiedziała: „Mimo że sama jestem w hierarchii wysoce postawiona i nie znośzę nad sobą wyższych, to jeśli już oni są, to potrafię ich odpowiednio czcić i uznawać, i tylko na przeciętność patrzę z pogardą”. A nieprzeciętnych ludzi wymaga nasza rzeczywistość.

— Mówi pan o nieprzeciętnych jednostkach, a jednocześnie jest pan autorem książki pt. „Na peryferiach historii... Powiedział pan kiedyś, że nie opisywał w niej wydarzeń, które wpłynęły na bieg historii, ale właśnie wydarzenia na jej peryferiach. Czy nie istnieje pewna tu sprzeczność?

— „Peryferie historii” są niewątpliwie uzupełnieniem wielkich wydarzeń historycznych. O ile coś ma się wydarzyć, musi mieć swoją przyczynę, a często ta przyczyna ginie w obliczu skutków. Na przykład: dla współczesnych historyków zajmujących się historią XVIII wieku nie ulega wątpliwości, że pewne tendencje, które doprowadziły do pierwszego rozbioru Polski, kielkowały już w umyśle Augusta II, zwanego Mocnym. Jest faktem historycznym, że odbyło się spotkanie Augusta Mocnego z przedstawicielem króla Prus. Przedmiotem narady w Krośnie Odrzańskim, była pomoc Prus w utrzymaniu dynastii saskiej na tronie polskim. August czuł, że zbliża się jego koniec, dlatego gorątkowo poszukiwał sposobów utrzymania dynastii. Wprawdzie nie doszło do bezpośredniego spotkania obu monarchów w Krośnie, bo Fryderyk nie widział już w Augustu partnera, dlatego wysłał na spotkanie swojego generała, co było oczywiście afrontem w stosunku do polskiego króla. Krośnieńskie spotkanie August II — gen. Grumbkow nie wpłynęło na bieg wydarzeń historii, ale załóżmy, że rozbiorek już był, gdyż August obiecywał za pomoc znaczne obszary Królestwa. Takich przykładów jest w mojej książce więcej.

— W jaki sposób wyszukuje pan swoje historyczne rodзинki? Czy jest to kwestia szczęścia, przypadku?

— Oczywiście, przypadek odgrywa tu pewną rolę, ale jest to również — jak mniemam — wynikiem gruntownej znajomości historii regionu w ogólnym i w szczególności w Ziemi Lubuskiej i Lubuskiej, być może lokalizować pewne enklawy historyczne.

— Spora część pańskich prac związana jest ze sławną rodziną Talleyrandów, czuje się wręcz pewne zafascynowanie tym klanem. Skąd wzięły się te fascynacje?

— To był faktycznie przypadek sięgający jeszcze czasów mojej wczesnej młodości. W latach 50-tych jako kilkunastoletni chłopak znalazłem się po raz pierwszy w Zaganiu i w Żarach. Postać nowilem wtedy, że w przyszłości zajmę się historią tych dwóch interesujących miejscowości. W okresie pobytu w Liceum Pedagogicznym w Zielonej Górze i studiów na Uniwersytecie Poznańskim gromadziłem materiały na temat Żar i Zagania. W selekcjonowaniu materiałów pomagała mi znajomość języka niemieckiego, która i dziś ułatwia mi penetrację zbiorów archiwalnych. Po zamieszkaniu w Zielonej Górze stwierdziłem, że tu znajduje się część pożądanego archiwum Talleyrandów. Wiedziałem, że wokół Zagania i Żar krąży wiele



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

pan ze znanym popularyzatorem epoki napoleońskiej Waldemarem Lysiakiem?

— Tak, poinformowałem pana Lysia o naszych zbiorach dotyczących Talleyrandów, co wzbudziło jego zainteresowanie.

— Pan w nieco podobny sposób podchodzi do historii?

— O nie, pod tym względem wzorem jest dla mnie Paweł Jasienica. Jestem za popularyzowaniem historii, ale stojącym na pograniczu szkicu beletrystycznego, pozbawionego dialogu. Interesuje mnie bardziej anegdota niż fakt historyczny. Oczywiście bez faktu, który jest podbudową anegdoty, nie może powstać anegdota. Staram się nie przekraczać pewnych granic w anegdotyce.

— Twierdzi się, że nie ma obiektywnych historyków?

— Oczywiście, zawsze stosuje się to, co Niemcy nazywają Parteilichkeit, za sadą partyjności, to znaczy, że historyk musi określić swój stosunek do zdarzeń, nie może być tylko chłodnym re lacionatorem.

— A stosunek do historii wspomnianego już Pawła Jasienicy?

— Jest to dla mnie do dziś niewytłumaczalną zagadką. Niby jest to obiektywizm, a jednak...

— W jego dziełach czuje się wręcz spora dozę nacjonalizmu.

— Niewątpliwie, w tym tkwi cały urok, bo przecież nacjonalizm, jeśli nie jest podsyty szowinizmem, nie jest taki zły. Styl pisarski Pawła Jasienicy jest dla mnie ideałem.

— Wracając do „tu i teraz”. Czym jest archiwum w Starym Kisielinie?

— Jest przede wszystkim urzędem państwowym i wchodzi w skład państwowej sieci archiwalnej. Jego podstawową funkcją jest gromadzenie, opracowywanie i udostępnianie materiałów archiwalnych. Prowadzimy nadzór nad państwowym zasobem archiwalnym, to oznacza, że archiwa zakładowe poszczególnych urzędów stanowią podstawowe, jednostki instytucji państwowych są pod naszym nadzorem. Po określo-

czas w Zaganiu i nie byłoby sobą, gdyby nie skorzystał ze zbiorów pałacowej biblioteki.

Inny przykład ważnego odkrycia. Przez dziesiątki lat nie było wiadomo, gdzie urodził się wielki czeski pisarz Božena Němcová. Było to sporą sensacją, gdy w księgach metrykalnych Zagania odkryto wpisy dotyczące jej rodziców i jej samej. Božena Němcová jest dla Czechów tym, czym dla nas Adam Mickiewicz, więc proszę sobie wyobrazić, jaki oddźwięk miało to od krycia w środowisku naukowym naszych sąsiadów.

— Zna pan zapewne wiele tajemnic historycznych Zielonej Góry. Krąży na przykład plotki, że miasto posiada wyjątkowo szkodliwy klimat i że władze niemieckie z tego powodu prowadziły systematyczną wymianę swoich wyższych urzędników.

— Wedle danych archiwalnych pogłoski o fatalnym klimacie miasta znajdują swoje potwierdzenie. Nie wiem na temat planowej wymiany niemieckich urzędników. Twierdzą na podstawie materiałów archiwalnych, że klimat był rzeczywiście szkodliwy dla zdrowia, czy taki pozostał — tego nie wiem.

— Jakie są pańskie największe marzenia, jako archiwista i pasjonata historii?

— Marzę o dotarciu do bezcennego zbioru manuskryptów Doroty Talleyrand, o ile ten zbiór jeszcze istnieje. Do 1944 roku zbiór znajdował się w Zaganiu, obecnie mamy pewne informacje, że prawdopodobnie znajduje się on w Bibliotece Kongresu Stanów Zjednoczonych. Marzę też, aby kiedyś powrócił do nas przeobrażony zespół archiwum rodzinnego rodziny Promińców znajdujący się obecnie w Berlinie Zachodnim.

— Oby się spełniło. Życzę panu jeszcze wielu wspaniałych odkryć i równie interesujących książek. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:  
PIOTR PIOTROWSKI

## Wyzwanie przyszłości

Spotykamy się z okazji jubileuszy: 40-lecia Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej, 35-lecia „Gazety Lubuskiej” i 30-lecia „Nadodrze”. Są one świętem zespołów redakcyjnych oraz pracowników Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego, Drukarni Prasowej i „Ruchu” — zatem tych, którzy tworzą, wydają, drukują i rozpowszechniają prasę. W istocie bowiem wszystkim — od wydawcy i dziennikarza po linotypistę, zecera i pracownika kolportażu chodzi o to samo: aby informacja czy materiał publicystyczny jak najszybciej dotarły do czytelnika. To jest przecież najgłębszy sens Waszej pracy.

Sądze, że warto sobie to uprzytomnić właśnie dziś, w jubileuszowych, odświeżających okolicznościach. W codziennym nawale pracy nie ma na ogół czasu na refleksję nad własną — niełatwą przecież i wykonywaną w trudnych warunkach — pracą. A każdy człowiek chce widzieć znaczenie tego, co robi: chce odczuć osiągnięte wyniki. Taki dzień jak dzisiejszy sprzyja tego rodzaju rozważaniom.

Mówi się, że społeczeństwo przyszłości będzie społeczeństwem informacyjnym. Nie jest to bezpodstawne. Tysiące ludzi zaczyna dzień od kontaktu z gazetą. Daje to odrobinę wyobrażenia o znaczeniu informacji i roli ludzi, którzy ją przenoszą do społeczeństwa.

Partia rozumie to i ceni. W Uchwale X Zjazdu jak i programie PZPR uchwalonym przez Zjazd, sporo miejsca poświęcono środkom masowego przekazu. Stwierdzono, że ich rola w nadchodzących latach będzie rosła. Uznano za niezbędne wzbogacenie treści i form działania prasy, podniesienia jej jakości i atrakcyjności. Wszyscy bowiem pragniemy, aby środki masowego przekazu służyły wszechstronnemu informowaniu społeczeństwa, wyrażaniu jego opinii i poglądów, dialogowi między różnymi środowiskami społecznymi. Liczymy, że — jak dotychczas — prasa będzie krzewić socjalistyczne i patriotyczne wartości, upowszechniać program partii, postęp naukowo-techniczny i kult dobrej pracy.

Aby ta polityka partii trafiła do ludzi — potrzebna jest dobra praca Was wszystkich. Potrzebny jest świetny materiał dziennikarski i trafna decyzja wydawnicza oraz redakcyjna, wysoka jakość produkcji poligraficznej — i sprawny kolportaż. Przerwanie tego ciągu w którymkolwiek miejscu rodzi kłopoty, powoduje opóźnienia informacji, osłabia skuteczność publicystyki. Jest sprawą zawodowego honoru, zawodowej ambicji eliminowanie takich sytuacji.

Chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze inny odcinek Waszej pracy. Spotykamy się kilka dni po rocznicy wybuchu II wojny światowej, wojny tragicznej dla naszego narodu, ale zakończonej zwycięstwem i powrotem do Polski ziem leżących nad Odrą i Bałtykiem. Ziemie te zostały przywrócone Ojczyźnie, a niebagatelną rolę w tym dziele odegrało także polskie słowo. Zasluga, jakie mają na tym polu „Gazeta Lubuska” i „Nadodrze” są niepodważalne.

Dziennikarze z obchodzących dziś swe jubileusze redakcji towarzyszyli wszystkim ważniejszym wydarzeniom, dokumentując codzienny wysiłek mieszkańców Ziemi Lubuskiej.

Uważamy — a mówię to również z upoważnienia władz politycznych i administracyjnych województwa gorzowskiego — że, zarówno „Gazeta Lubuska” jak i „Nadodrze”, dobrze wypełniają swą społeczną misję, skupiając ludzi pracy wokół polityki partii. Oba pisma cieszą się zainteresowaniem i życzliwością czytelników, co upoważnia do stwierdzenia, że lata, które minęły, nie zostały zmarnowane.

Dni, które nadchodzą — stawiają przed nami nowe zadania. Zadania te wynikają ze zmieniającej się sytuacji w Polsce i na świecie, a u nas określają je dwa dokumenty partyjne najwyższej rangi — Uchwała X Zjazdu i Program PZPR. Do spraw najważniejszych wypada zaliczyć to, co wiąże się z popularyzowaniem reformy gospodarczej i działań usprawniających gospodarkę. Musimy bardziej efektywnie wykorzystywać wszystko, czym dysponujemy. Wiąże się z tym problematyka rewolucji naukowo-technicznej, postępu technicznego, wykorzystania osiągnięć nauki. Chcielibyśmy, aby środki masowego przekazu pomagały w dynamizowaniu gospodarki, uzyskiwaniu lepszych efektów w odnowie życia społecznego.

Te cele nie istnieją same dla siebie. W ostatecznym rozrachunku chodzi o poprawianie warunków życia ludzi, o to by były one bardziej sensowne i lepiej zorganizowane.

Nie ludźmy się — to nie są łatwe zadania. Ale musimy je wziąć na siebie i rozwiązywać kolejno wszystkie problemy. Nawet te, które wydają się dziś nie do rozwiązania. Taki jest obowiązek partii — jako siły przewodniej, kierowniczej i służebnej jednocześnie. Bowiem, jak pytał Sekretarz Generalny KPZR — Michaił Gorbaczow: „Jeżeli nie my — to kto? jeżeli nie teraz — to kiedy?”

Partia musi podjąć wyzwania przyszłości. Jednak sprostać im partia może tylko wtedy, gdy będzie razem z ludźmi pracy, ze społeczeństwem, gdy jej więź z podstawowymi siłami narodu będzie silna i oparta na trwałych podstawach. Prowadzimy otwartą politykę, zwróconą do ludzi. Jesteśmy przekonani, że zaczyna ona przynosić rezultaty.

Jest rzeczą oczywistą, że realizacja zadań, które stoją przed nami, wymaga więc i Waszego, twórczego współudziału i zaangażowania. Jesteśmy przekonani, że — tak jak dotychczas — będziemy mogli i w przyszłości liczyć na Waszą wiedzę, kwalifikacje, doświadczenie i energię, na Wasze patriotyczne i społeczne zaangażowanie.

W imieniu kierownictw politycznych i administracyjnych obu lubuskich województw — gorzowskiego i zielonogórskiego pragnę Wam przez kazać, z okazji jubileuszu 40-lecia RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 35-lecia „Gazety Lubuskiej” oraz 30-lecia „Nadodrze”, serdeczne gratulacje i życzenia nowych, równie wspaniałych osiągnięć.

W ciągu tych minionych lat lubuskie środowisko wydawnicze, dziennikarskie, drukarskie i kolportażowo-upowszechnieniowe wydało wielu wspaniałych działaczy społeczno-politycznych, mistrzów w swoim fachu, wzorowych, zaangażowanych społecznie i politycznie obywateli. Znamy ich nazwiska. Chciałbym życzyć Wam, aby znaleźli się godni ich następcy... Wiemy, że tacy już wyrastają w Waszych gronach.

Wolno przypuszczać, że w przyszłości, mimo rozwoju nowych technik przekazywania informacji, słowo drukowane zachowa swoje wyróżnione miejsce w procesie komunikowania się ludzi, w upowszechnianiu podstaw, idei i opinii. Nowa zielonogórska drukarnia, której budowę rozpoczęto — nie tylko usprawni Waszą pracę, ale i poprawi jej warunki.

Składając jeszcze raz serdeczne gratulacje i życzenia, pragnę zapewnić, że możecie liczyć na pomoc wojewódzkich instancji partyjnych i władz administracyjnych obu województw. Niech Wasza praca dobrze służy rozwojowi socjalistycznej demokracji, umacnianiu więzi partii ze społeczeństwem, podnoszeniu wiedzy mieszkańców Ziemi Lubuskiej. Niech będzie również dla Was źródłem osobistej pomyślności i satysfakcji.

Z wystąpienia Zbigniewa Niemińskiego — I sekretarza KW PZPR w Zielonej Górze na spotkaniu kierownictw partyjnych i administracyjnych województw gorzowskiego i zielonogórskiego oraz prezesa RSW „Prasa-Książka-Ruch” — doc. dr hab. Wiesława Rydygiera z dziennikarzami, wydawcami, drukarzami i kolporterami zorganizowanym z okazji 35-lecia „Gazety Lubuskiej”, 30-lecia „Nadodrze”, w 40 roku działalności Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej.

Jerzy Piotr Majchrzak — absolwent Liceum Pedagogicznego w Zielonej Górze, UAM w Poznaniu i Wyższej Szkoły Pedagogicznej im. K. Liebknechta w Poczdamie (NRD) gdzie w 1977 r. uzyskał tytuł doktora nauk filozoficznych o specjalności literaturoznawstwa. Dyrektor Archiwum Państwowego w Zielonej Górze z siedzibą w Starym Kisielinie, pracownik naukowy WSP, członek Prezydium Lubuskiego Towarzystwa Kultury, członek zarządu oddziału Stowarzyszenia Autorów Polskich w Zielonej Górze. Autor książek: „Polska i Polacy w prasie zielonogórskiej 19 wieku” (LTN Zielona Góra 1985), „Na peryferiach historii” (LTN Zielona Góra 1987).

Tak nadszedł rok 1933. W obejściu Szudaka zaczyna wściekle ujażdżać pies, a on sam widzi, że idzie do niego cała grupa hitlerowców z pistoletami w dłoniach. Nie myśli o sobie, by uciec do lasu i tak by już nie zdążył. Myśli o lużyckim sztanarze. Szybko chowa go za rozpiętą koszulę i wybiega do sadu, chowa pod koszem jednego z pszczałek pni. Jest już na podwórzu, gdy taszyśko wpadają do jego zabudowań. Rozbiegają się natychmiast, plądrując całe obejście i dom. Kilku obstępuje go w wśród krzyków, wzywając i ponaglając reko-

# Sztandar

Do domu Szudaka zagląda bieda. Zostawia na sprzedaż, co może. Oto trafili się kupiec na pszczoły. Przegląda pień po pień. Nagle... Co to? Sto je tole? To jest ta serbska flaga, której hitlerowcy wciąż jeszcze szukają. Co czynić? Ale kupiec też jest Serbem. Po chwilkę rozgląda się przystojnie i widzi, że droga przejeżdża właśnie chłop z futrą siarą. Wykręca na drogę i z tuż

**na drabinias**

Wokół roilo się od partyzantów i Niemcy woleli nie wychylać nosa ze swojej strzeżonej stacji łączności. Wysyłano więc Bręzana, który zawsze jakoś szczer-

Tutaj Brézan pracował w stacji radarowej, której zadaniem było ostrzeganie niemieckich baz wojskowych przed nadlatującymi bombowcami, startującymi na drugim brzegu kanału La Manche. Tutaj Brézan ostrzegał Niemców najczęściej z opóźnieniem, kiedy z bazy niewiele już zostawało. Nie było to znówu takie całkiem proste, bo musiał zapisywać dokładnie czas, godziny i minuty, prawie jak kolejarz odprowadzający pociąg. A poza tym przecież tej odpowiedzialnej pracy przysłuchiwała się placówka Abwehry — wojskowego kontrwywiadu.

Pewnego dnia zasygnalizowano kolejny nalot, a z kierunku lotu bombowców wynikało, że kierują się na niemiecką bazę wojskową w Chamonix. Tym razem był to trudny orzech do zgryzienia, zapowiadając nalotu na okroślenie przyszła odpowiednio wcześniej i „kawał” z opóźnioną informacją mógł Brzananowi nie wyjść. Nerwowo spoglądał na mapę zastanawiając się, jak i co zrobić, aby bomby trafiły jednak w niemieckie cel. Nagle dostrzegł, że istnieje jeszcze drugie Chamonix, gdzie też są Niemcy i tych uprzedził o nalocie. Bomby trafiły więc w cel.

W kilka godzin później znajomy oficer Abwehry uprzedził go bardzo lojalnie, że przejrzał jego grę i nie ujdzie mu to na sucho. Jeszcze tego samego dnia poinformuje dowódcę jednostki. Tak więc wpadka była całkowita, należało tylko z godnością przyjąć klęskę.

Wprost nie do wiary, ale stał się cud, prawdziwy cud, nazajutrz rano pracownik Abwehry nie było już w stacji radarów. Dowódcą jednostka starszy nie miek! oficer wysłał go na front. A my możemy dzisiaj czytać piękne książki wybitnego łuczyckiego pisarza.

— Pytanie czysto teoretyczne, ale pomarzyć można. Zaczalibym więc od podniesienia upośażenia muzyków do takiej wysokości, by każdy mógł w niedługim czasie kupić sobie przynajmniej dobry instrument, będący przecież narzędziem jego pracy. Niektóre instrumenty kosztują ponad milion złotych, czyli jest to wydatek nie na kieszeń naszego muzyka, który ma jeszcze na utrzymaniu rodzinę. Problem ten dotyczy prawie wszystkich instrumentalistów w kraju. Po drugie — zacząlbym budować mieszkania, które w przypadku muzyków powinny pełnić także funkcję pracowni artystycznej. Kolejnym moim marzeniem jest budowa nowego gmachu filharmonii, a bogatą w wystrój i doskonałą pod względem akustycznym salą, w której zostaną zamontowane organy. Póki jednak jest to nierealne, musimy rozpocząć remont tego, co posiadamy. W najbliższym czasie przystąpimy do rozbudowy naszego, trochę za ciasnego gmachu. Znaczną część pieniędzy przeznaczbym na ściąganie do Zielonki.

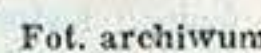
Rozmawiał  
**ALFRED SIATECKI**

ze wsi przyglądają się niezwykle mu po-  
jazdowi, z łuzyczką flagą narodową na  
szczyście belki z tyłu, nie wierząc włas-  
nym oczom. Wreszcie fura z ślanem za-  
jeżdża na podwórze i dopiero tam do-  
strzegają sztafard właścicieli pojazdu. Je-  
go żona już biegnie przez podwórze  
rozkładając ręce. Oboje należeli jednak  
w młodości do „Sokoła” i wiedzą, co  
robić. Szybko chwytają „modro-czerwo-  
no-białą” w starej wiśni. Niech docze-  
ka lepszych czasów na Łużycach. I do-  
czekała, a ci, co ją przechowywali, otrzy-  
mali wysokie odznaczenia, godne ich od-  
wagi.

Podobnie jak Szudak, tak i nie miał szczęścia do Niemców na ojczystej ziemi. Jurij Brzhan, znany dzisiaj w świecie czołowy pisarz łużycki. W 1936 r. został po raz pierwszy aresztowany z powodu „politycznej niedojrzałości” jakim wykazał w szkole. Dlatego też maturę zdał w dwa lata później w Toruniu. Stąd zna doskonale język polski. Po powrocie w rodzinne strony znów został aresztowany i wydany z Łużyc, bez prawa powrotu. Wyjechał wtedy do Wschodniej Fryzji, skąd znów nielegalnie wrócił na Łużycę. Kiedy go tutaj

liwie wracał. Tak poznał polskiego agromoma, który zapewne oprócz rolnictwa zajmował się także innymi sprawami... Polak ten zapraszał niemieckiego żołnierza na szachy, w które obydwaj chętnie grzywali, gawędząc – rzecz jasna – przy okazji. Serb w niemieckim mundurze mówił nieraz swojemu partnerowi, jakie to ostatnio nadeszły rozkazy, o których jako pracownik stacji łączności był dobrze poinformowany. Początkowo jego polski partner udawał, że go to absolutnie nie interesuje, później jednak zaczął zadawać pytania. Od tego czasu akcje Niemców przeciwko partyzantom w terenie zaczęły jakoś nie wychodzić, jakby ci ostatni byli z góry o wszystkich ich posunięciach poinformowani. Znali też zawsze stan niemieckich sił, ich dyslokację i zamierzenia. A Brzhan nadal spokojnie grzywał w szachy z polskim agromonomem z Pińska. Grzywał spokojnie i regularnie, a na miejszym frontie coraz lepiej wiodło się partyzantom, a coraz gorzej Niemcom. Tak więc tym razem Niemcy nie mieli szczęścia do Brzhana.

Gra w szachy trwała tak przez dwa lata, przynosząc wiadome rezultaty, a



# PANI ZABITA PRZEZ PANA

O zazdrości napisano tysiące książek. Ale czy nauczyło to nas wiele? Każdy z nas buduje własną teorię zazdrości i sprawdza ją w życiu. Doświadczenia innych niewiele nas obchodzą. Szkoda. W wielu przypadkach uniknęłoby się niepotrzebnych tragedii.

Oto, co zdarzyło się w czasie ostatnich wakacji w jednym z pobliskich województw:

W małym miasteczku żyło na pozór zgodne małżeństwo z czworgiem dzieci. Od dwóch lat żona pracowała jako zaopatrzeniowiec w dużej firmie handlowej w mieście wojewódzkim. Często wyjeżdżała na dłuższe delegacje. W czasie jej nieobecności mąż zajmował się dziećmi i domem. Ufał sobie i nie czynił żadnych wyrzutów ani z podziału obowiązków, ani nieobecności w domu.

Pewnej niedzieli, po meczu miejscowej drużyny, mężczyzna wstąpił z kolegami na piwo. W knajpie rozmowywały na temat domów i żon przerezydli się w „oświecanie” naszego bohatera: czy aby na pewno jego żona wyjeżdża służbowo, a może ma kochanka i potajemnie się z nim spotyka, i całą pracę zrzuca na męża, który jest być może rozgacie i nie o tym nie wie. Mąż nie uwierzył w koleżeńskie podszepty, ale ziarno raz zasiane zaczęło powoli ku kiełkować. Niektóre szczegóły, np. wyjazdy, kokieteryjność żony, jej dbałość o strój i wygląd – zgadzały się. Brakowało tylko „tego trzeciego” i miejsce ewentualnych spotkań. Po tygodniach rozterek mąż zaczął śledzić żonę. Jeździł za nią do pracy, czekał popołudniami, często dzwonił i zmieniał głos, przeszukiwał torebkę, czytał listy. Na razie nie znalazł żadnego śladu. Wierzył jednak, iż jego wytrwałość zostanie kiedyś nagrodzona. Żona nie

zdawała sobie sprawy, w jakim stanie znajduje się mąż. Zaskoczona była tylko jego zwiększonymi potrzebami seksualnymi. Do łóżka szli teraz przynajmniej trzy razy dziennie: przed wyjściem do pracy, po przyjeździe z niej i w nocy. Żona przyjmowała te karesy z mieszanymi uczuciami. Początkowo pochiebiało jej silne zainteresowanie męża, potem powoli zaczęło męczyć. Ale gdy odmawiała — spotykały ją wymówki, wrzeszcze oskarżenia. Najpierw się śmiała, nie wierzyła, że mąż zajmuje się głupstwami, aż zaczęła się trochę bać. Zaprzeczenia, próby oporu spotykały się z reakcjami gniewu, kolejnych wymówek. W domu nie panowała już miła atmosfera — zrobiło się jakoś ciężko i duszno. Śledzenie zaś było na zaawansowanym etapie. Zazdrosny mąż potrafił jeździć za żoną swą do innego miasta i nie zauważył kłóćci się w pobliżu.

Tragedia zdarzyła się po przyjeździe żony z kolejnej delegacji, gdzie tym razem była ze swym kierownikiem. Mąż wyprowadził ich – gdy oni jechali pociągami, on w jedną i drugą stronę leciał samolotem. Mężczyzna chodził pod hotelem i wokół hurtowni i cały czas łączył obcych sobie ludzi w romansującą parę. Wyobraźnia podsuwała mu widoki, których nie było, budowała sytuacje i gesty nieprawdziwe.

Mąż wrócił więc do domu przekonany, że nareszcie zdołał by namalować dowody, iż rzeczywiście jest zdradzany. Dyszał pragnieniem zemsty. Udawał jednak spokój przez pierwszy dzień powrotu żony. Pod wieczór poprosił dzieci, by przeszły się do ogrodu po warzywa zapewniając, że rodzice zaraz przyjdą. Zdziwiona żona zaczęła oskarżać o zdradę i zakłinać, by przynajmniej się do winy Nie pomagały zaklećcia, zaprzeczenia. W czasie brutalnego gwałtu mężczyzna zaczął dusić żonę. Potem ciało wyniósł do lazienki i w wannie poćwiartował. Z kuchni przyniósł torebki soli... Wtedy do drzwi zapukaly dzieci. Kazał im chwilę pobawić się jeszcze na dworze. Sam przebrał się i wyszedł z domu.

Dzieci wychowuje ich siedemdziesięcioletnia babcia. I chyba odda swe wnuki w inne ręce, bo są krnąbrne, nie posłuszne, czasem wulgarne. Ich matka nie żyje. Ojciec długo nie wyjdzie z więzienia. Czyżby więc dzieci ucierpiały najbardziej w tej niepotrzebnej tragedii?

MALGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

W lipcu br. Telewizja Polska nadała interesujący program poświęcony sylwetce barona Romana von Ungern-Sternberga i nieodkrytym dotąd skarbowi, jakie ten watażka zrabował w Mongolii. Program ten powstał m.in. w oparciu o książkę Witolda S. Michałowskiego „Testament barona”, która opublikowana w 1972 r. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. Trop poszukiwań skarbu wiedzie także w okolice Zielonej Góry.

„Krwawy baron” prawie całe swe życie związał z Azją, a w szczególności z Mongolią. Jak wielkie miał ambicje, niech świadczy o nich chociażby fragment jego listu, który skierował do ro-

Estonia. Zamek Rynel koło Rewla. Baronowa Annelise von Harpe na wieść o ofensywie Armii Czerwonej spakowała w pośpiechu w kufry najcenniejsze pamiątki rodzinne, srebro, broń, portrety przodków oraz dokumenty i uciekała z nimi w głąb Rzeszy. Być może był wówczas także w jej posiadaniu testament mongolskiego chana-barona Romana Ungerna. Była przecież jego stryjczną siostrą.

Pierwszym etapem podróży baronowej był Poznań. Tu bowiem mieszkali spolszczeni już zupełnie potomkowie brabanckiego pułkownika Karola von Ungern-Sternberga. Liczyła na ich goś-

kańcy przenieśli się wówczas do sąsiedniego murowanego budynku, który ocalał.

Pracuta oświadczył także, że tuż po wyzwoleniu miasta odwiózł na miejsce wy posterunek parę sztuk starej broni ozdobionej herbami. Przywozła ją zapewne baronowa wraz z innymi pamiątkami rodowymi. Miejsce, gdzie stał dom Elise Kuske, zajmowała na początku lat siedemdziesiątych kuźnia i warsztat naprawczy miejscowego POM. Na sąsiednim budynku znać jeszcze za rąsy dachu niższej odeń budowli. Ludzie, którzy niwelowali teren co domu Elise Kuske, nie znaleźli. Do piwnicy nie zaglądali, zasypało je gruzem...

Po interwencji osadnika u Komendanta Urzędu Bezpieczeństwa w Zielonej Górze zarządzone śledztwo, które jednak utknęło w miejscu. O rzekomych funkcjonariuszach UB i zrabowanych ze stodoły w Zatoniu kosztownych przedmiotach słuch zaginął. Wartościowych dokumentów nie zabrali.

Zatonie leży w odległości niespełna 30 kilometrów od Nowogrodu Bobrzańskiego. Do 1945 r. wieś ta nosiła nazwę Güntersdorf, a do jej właścicieli należało kilka innych majątków w najbliższej okolicy. Nazwiska zmarłej Niemki dziś nikt już we wsi nie pamięta. Mogła to być Annelise von Harpe, a mogła to być także baronowa von Lancken właścicielka Zatonia? Być może leży po chowana na miejscowym cmentarzu?

„Skarb barona” ważył blisko półtorej tony, bez obitego blachą kufra. Wśród nich najcenniejsze były przedmioty starożytnej sztuki sakralnej Tybetu, Chin i Indii. — złote posągi bogów, ozdoby i biżuteria kobiet z księżycy rodów, tabakierki, całymi latami kunsztownie rzeźbione w nefrycie, agacie i koralu. Niejedno muzeum na świecie mogłoby szczeni się ich posiadaniem. Są one własnością narodu mongolskiego. I do Mongolii powinny wrócić. Ale najpierw należy je odnaleźć. Bezcennie oczekiwać nie można. Póki co jeden ze śladów testamentu barona prowadzi do Nowogrodu Bobrzańskiego i Zatonia. I tak bywa często z historią, że ona swoje tajemnice pilnie strzeże przed profanami.

## GDZIE JEST SKARB?

Andrzej Brzoza

dziny, od wieków zamieszkującej w Kurlandii: „stosunki w centralnej Azji są takie, że jeśli się jest obrotnym to można zostać nawet cesarzem Chin”. Marzenia tego nie zrealizował, ale przez kilkanaście miesięcy był faktycznym władcą Mongolii. Wcześniej nawrócił się na buddyzm i uzyskał wyższy stopień lamaickiego wtajemniczenia.

Byli i tacy, którzy dostrzegli w „krwawym baronie”, następcę Tamerlana. Ungern ciągle marzył o historycznym poścignictwie. Obiecywał lamom i arystokracjom mongolskim podbój Azji i Europy, by uwolnić te kontynenty od, jak to nazwał, „zmory komunizmu”. Snuł plany założenia zakonu buddyjskich rycerzy krzyżowych, którzy mieli mu pomóc zrealizować jego dziełową misję. Kandydatów znalazł niewiele. Oczekali go zwykli handcy, awanturnicy i pijacy, słowem ludzie spod ciemnej gwiazdy.

Bolszewików szczerze nienawidził. Walczył z nimi zapamiętale, aż do końca swego życia. Sama osobowość Ungerna nie stanowiła wzorca do naśladowania. Rzecz by można, iż mimo swojego szła checkiego pochodzenia był człowiekiem z piekła rodem. Zdolny do czynów szła chetnych, ale także najbardziej ponurych. Narkoman i zawiadziak. Tych, którzy sprzyjał rewolucji, nie zawsze rozstrzeliwał. Zalał amunicji. Kawał ich palił żywcem w palenisku lokomotywy!

Proces barona w trybie doraźnym odbył się w Nowomikolajewsku (dziś Nowosybirsk). Sądził go Rewolucyjny Trybunał Syberii. Na pytania odpowiadał krótko i stanowczo. Zbrodni i okrucieństw nie wyparł się. Tłumaczył to prosto: „To była wojna”. Z ostatniego słowa nie skorzystał. „Krwawy baron” wyrokem Trybunału został skazany na rozstrzelanie. Wyrok wykonano 17 września 1921 r. Miejsca ukrycia skarbów narodowych Mongolii nie ujawniło. Zbliżył się koniec II wojny światowej.

cinność. I zapewne ją otrzymała. Być może zamierzala się spotkać z Romanem Eugeniuszem Aleksandrem von Ungern-Sternbergiem, ale ten zginął w 1945 r. jako żołnierz Wehrmachtu.

U poznańskich krewnych baronowa nie czuła się zbyt dobrze. Postanowiła więc ruszyć dalej. Na przełomie marca i kwietnia 1945 r. pojawiła się w Nowogrodzie Bobrzańskim. Zatrzymała się w domu niejakiej Elise Kuske przy ówczesnej ulicy Samtrig 60. Jak twierdzi Witold S. Michałowski taki adres nosiła ostatnia kartka, jaką przysłała do bliskich w Lojo (Finlandia). W Nowogrodzie baronowa pozostawiła rodowe dokumenty i pięć portretów przodków. Być może i testament „krwawego barona”.

Portrety, z wyjątkiem jednego, malowali nieznanzi artyści. Autorem ostatniego, który przedstawia marszałka polnego Szwecji, jest znany malarz drezdeński z przełomu XVIII i XIX w. T. Pochman. Dwa z nich zostały odnalezione. We wrześniu 1970 r. były w posiadaniu Krzysztofa P. z Poznania, młodego historyka sztuki, który już nie używa pierwszego członka nazwiska von Ungern-Sternberg. Koresponduje nawet — jak to sam żartobliwie określa — z „dalekim kuzynem” Jürgenem von Ungern-Sternbergiem, niemieckim przemysłowcem. Spotkali się kiedyś na Targach Poznańskich.

Witold S. Michałowski tropiąc ślad testamentu barona Ungerna rozmawiał w Nowogrodzie z niejakim Pracutą. Mieszkał tu od 1914 r. Służył w carskiej armii, potem dostał się do niewoli niemieckiej i został wreszcie strąconym do pobliskim majątku. Przeżył tu całe swe życie. Pracuta powiedział, że zna nie tylko Elise Kuske, ale pamięta także starą baronową, która przebywała u Kuske przez kilka dni. Dom też już nie istnieje. Był drewniany. Spłonął od radzieckiego pocisku. Jego miesz-

Dom Elise Kuske nie należał do najokazalszych w Nowogrodzie Bobrzańskim. Była ona córką miejscowego właściciela restauracji i zarazem niedużego zajazdu. Baronowa von Harpe mogła się w nim zatrzymać na jedną noc. Dlaczego zatem podała inny adres, wysyłając kartkę do rodziny? Zagadkę wyjaśnił jeden z nielicznych autochtonów, prowadzący kuźnię w leżącej o sześć kilometrów wsi Dragowina. Stwierdził, że u Kuske na piętrze mieszkał listonosz.

Baronowa nie czując się najlepiej chciała zatem poinformować bliskich, w jaki sposób mogą ją najprędzej odnaleźć. Tu, w Nowogrodzie, myślała zapewne także, dokąd się dalej udać. Dwory okolicznych junkrów stały przed nią otworem. Na północ od Nowogrodu, w odległości pięćdziesięciu kilometrów leżał Torzym, gdzie już w XIII w. arcybiskup Konrad ze Sternbergu założył gród i wybudował zamek. A może chciała dotrzeć do Zagania?

Dziwne wydarzenie z tych lat pamięta b. w. przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej w Zielonej Górze. Jako młody chłopak służył w organach bezpieczeństwa. W pałacu w Zatoniu należono na barłogu ze słomy dogorywała starsza kobieta. Była to ranna od zabiłkanej kuli Niemka, która nie zdążyła już uciec z właścicielami majątku. Zaopiekował się nią jeden z pierwszych osadników. Twierdziła, że jest baronowa. Stan zdrowia starej kobiety był krytyczny. Po paru miesiącach Niemka zmarła. Przed śmiercią zdała jeszcze oświadczyć gospodarzowi, gdzie ukryła złoto, srebro, naczynia, biżuterię, obraz i dokumenty. Gospodarz odnalazł ten skarb, zwiózł go do stodoły i ukrył pod słomą. Ale już następnego dnia przybyło do wsi dwoje ludzi, którzy oddając się za funkcjonariuszy UR odbrali mu wszystkie rzeczy po zmarłej Niemce. Na odchodne zdrowo go jeszcze pobili.



Ungern — chan mongolski



## CZTERE WERSJE JEDNEGO WYDARZENIA

**Autor:** — W tym miejscu miał być wydrukowany reportaż, czyli żywy opis zdarzeń i faktów, znanych autorowi z obserwacji. I byłby, gdybyśmy poprzestali na wysłuchaniu pierwszego informatora. Ale czy wtedy napisalibyśmy prawdę?

**1. Inspektor:** — Komendant Posterunku Milicji przywłaszczając sobie 400 marek zachodniemieckich, które dał mu gość z RFN prosząc, aby przekazał je na konto Społecznego Komitetu Budowy Szkoły. To fakt.

**2. Dyrektor wydziału:** — Kilku Niemców z RFN przyjechało w nasze lasy na polowanie. Wypadek musiał być udany, ponieważ pod koniec swojego pobytu w leśniczówce urządzili ucztę dla polskich znajomych. Jedli, pili, śpiewali. Nad ranem któryś Niemiec nie umiał znaleźć swojej lunety, którą chciał zademonstrować Polakom. Poszukiwanie w okolicznych zaroślach, hałasach, krzawkach, pokojach leśniczówki zakończyło się fiaskiem. Niemcy fakt zaginięcia lunety zgłosili komendantowi posterunku. Nim sierżant rozpoczął dochodzenie, jeden z biesiadników przyniósł lunetę do leśniczówki mówiąc, że jakiś chłopiec znalazł ją w lesie. Uradowany Niemiec wyjął z portfela 40 marek i wręczył je komendantowi zaznaczając, że mają one wzbogacić konto Społecznego Komitetu Budowy Szkoły. Tak było.

**3. Przewodniczący GRN:** — W nasze lasy często przyjeżdżają myśliwi z RFN, niektórzy bywają tu systematycznie. Na polowania nie chodzą sami, ale zawsze w towarzystwie myśliwych z nadleśnictwa, a i niekiedy z kims z kółka łowieckiego. Tego dnia był z nimi komendant. Wyszli z leśniczówki i po jakimś czasie któryś stwierdził, że nie ma lornetki. Rozpoczęło się poszukiwanie. Jedni twierdzili, że Niemiec zostawił lornetkę w pokoju, inni — że zgubił ją już w lesie. Wracając znaleźli lornetkę na ścieżce w pobliżu leśniczówki. Tym, który ją wypatrzył, był komendant. Oddał lornetkę Niemcowi żartując, że należy mu się nagroda. Otrzymał za to kilkadziesiąt marek, które przekazał

na konto Społecznego Komitetu Budowy Szkoły. To prawda.

**4. Nauczycielka:** — Uczniowie powiadomili mnie, że jeden z ich kolegów włamał się do samochodu myśliwych z RFN, którzy przyjechali w nasze lasy na polowanie, i ukradł bardzo drogi aparat fotograficzny. Podczas przerwy poprosiłam ucznia do siebie i spytałam, czy to prawda. Przyznał się do kradzieży. O tym fakcie powiedziałam dyrektorowi szkoły uważając, że jest to sprawa poważna. Dyrektor natychmiast wezwał chłopca do siebie i zażądał wyjaśnień. Uczeń opowiadał, że samochód stał przy drodze, on podszedł, patyczkami podważył okienko i z wnętrza auta wyjął aparat fotograficzny, który ma w domu. Dyrektor telefonicznie połączył się z komendantem posterunku prosząc, by przyjechał do szkoły. Chłopcu zaś powiedział, że obaj pójdą do domu po aparat. Uczeń placząc poprosił o poczekanie, on ten aparat przyniesie sam, boi się swojego ojca. Po kilku minutach aparat leżał na biurku dyrektora, rzeczywiście był nowoczesny i pewnie bardzo drogi. Dyrektor znowu połączył się z komendantem informując go, że już nie ma sprawy. Niebawem spotkałam żonę leśniczego, która poskarżyła mi się, że z samochodu niemieckiego myśliwego zginął aparat fotograficzny. Nigdy to się nie zdarzało. Pytała sąsiadki, pracowników leśnictwa, ale nikt nie miał jej pomóc. Jeśli aparat nie znajdzie się, będzie musiała kradzież zgłosić komendantowi. Skojarzyłam oba fakty i poradziłam, by pojechał do dyrektora, który nie wiedział dlaczego, o posiadaniu aparatu nikogo nie informował. Niemcy uciechali się, przyjechali do szkoły, a wtedy dyrektor zażądał od nich podania numeru fabrycznego aparatu. Odpowiedzieli, że nie pamiętają nawet numerów swoich paszportów. Dyrektor nie chciał zwrócić im aparatu, choć było pewne, że jest to przedmiot ukradziony z samochodu gości niemieckich. Nim wyszli z gabinetu, ostrzegł dyrektora, że pójdą do komendanta. Dyrektor położył aparat na biurku i spytał, ile on kosztuje. Sześćset marek, przypomniał sobie właściciel. Jeśli zapłacicie mi sześćdziesiąt marek jako znalezione, aparat zwrócę natychmiast. Tłumaczyli mu, że aparat nie zgubili, czyli nie mogą wynagrodzić go dziesiątą częścią wartości przedmiotu. Dyrektor był uparty; jeśli nie otrzymam znalezionego, aparatu nie oddam. Przyjął sześćdziesiąt marek zaznaczając, że pieniądze przekaże na konto Społecznego Komitetu Budowy Szkoły. Czy przekazał? Dyrektor miał pokwitowanie.

**Autor:** — Szkoła zostanie niebawem przekazana do użytku. Dotąd niczego nie kupiono za marki, zresztą Społeczny Komitet Budowy Szkoły w W. nie posiada konta dewizowego. I w kasie SKBS nie ma marek. Co się stało ze znalezionym?

E. NOWAKOWSKI

## Jubileusz z zadumą

Prawie każdy z nas powtarza co dzień znajomy gest — sięga po dziennik. W naszym przypadku jest nim najczęściej „Gazeta Lubuska”, kiedyś „Zielonogórska”. Bezwidnie szukamy interesujących nas stronice, szpalat, rubryk. Potem wyrzucimy do kosza, zatrzymując w pamięci potrzebne informacje.

Nie znamy całej otoczki tworzenia gazet, nie wiemy nic poza tym, co czytamy, poza kilkoma nazwiskami pod zdjęciem, artykułem, rysunkiem, listem. Tymczasem każdy numer to mała historia. Aż trudno uwierzyć, iż w przypadku „Lubuskiej” to kwestia trzydziestu pięciu lat. Pierwszy numer wyszedł 1 września 1952 roku.

Chyba niewielu czytelników jest w stanie odtworzyć koleje pisma. Ale jeśli miałby ochotę to prześledzić — w zielonogórskim Klubie MPIK zaprezen-

towano wystawę, prowadzącą widza od początków gazety do dnia obecnego. Na zdjęciach (szkoda tylko, że nie zawsze opisanych) rozpoznac można wielu dziennikarzy i obecny zespół redakcyjny. Po kłopotach, najbardziej znane winiety poszczególnych działów, inicjatyw redakcji „Gazety Lubuskiej” dziennikarskie trofea, odznaczenia, nagrody.

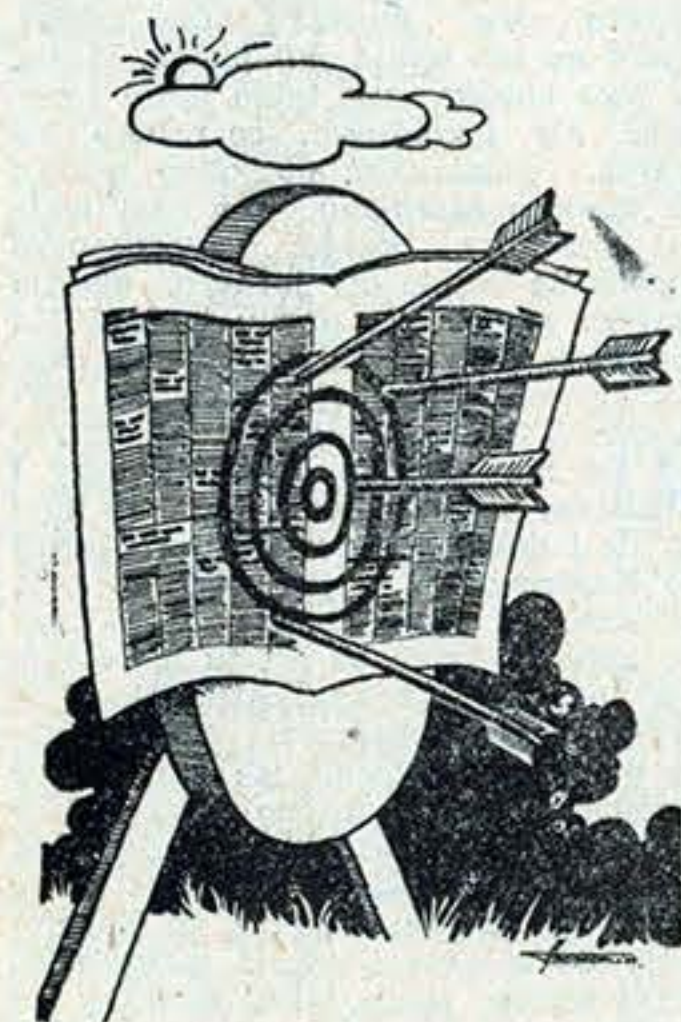
Wystawa jest bardzo bogata. Sprawia wrażenie przeładowanej — tak dużo tytułów i materiału prasowego. Ale na pewno nie jest to ekspozycja nudna. Nieświeży ładunek informacyjny, na który potrzeba dłuższej chwili kontemplacji. Czerń druku i zdjęć ożywiają plamy kolorowego papieru odpowiednio komponowanego na planszach.

Autorzy wystawy — Kazimierz Wysocki i Czesław Kwaśny — mieli zapewne wiele kłopotów z wyborem, w tej tysięcznej masie eksponatów, rzeczy najodpowiedniejszych i najbardziej atrakcyjnych. Złotyśrodkiem okazało się wzbogacenie bloku informacyjnego rysunkami satyrycznymi artystów współpracujących z „Gazetą”, dowcipnymi przykładami pracy korektorów, zdjęciami fotoreporterów. By wystawa — przeciętna, nie okazała się zbyt poważna — na jednym z ujęć Bugla widać trzy siusiujące świnki, zaś na rysunku — format „Gazety” jest mniejszy od pudełka z zapalkami: w myśl hasła o oszczędzaniu papieru.

Ekspozycja pokazująca trzydziestopięcioletnie losy „Gazety Lubuskiej” ma swoich wrogów i zwolenników. Ja obejrzałam ją z zadumą.

MAŁGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

Rys. LESZEK HERMANOWICZ



# Kochankowie na Harendzie

Janusz Koniusz

Miał to być dom na lato. Stał się domem na wszystkie pory roku. Miał być na bardzo długo, prawie na zawsze, bo człowiek kochający i kochany nie wierz przecież w swoją śmierć. Kasprowicz mieszkał na Harendzie zaledwie trzy lata. Kupił ją od angielskiej malarki Cooper, przyjaciółki Witkacego, która odepchnięta przez tego tragicznego prześmiewcę na krótko znalazła ukojenie u boku poznanego w Zakopanem gruzlika, który wkrótce zmarł.

Na Harendzie Kasprowicz napisał jeszcze „Mój świat” i przez większość dni ciężko chorował na cukrzycę. Na parterze mieszkał z Marią, na pięterku były pokoje dla córek, Janiny i Anny, które miał z Jadwigą, później szła Przybyszewską.

Kasprowicz, jak przystało na prawdziwego mężczyznę i pisarza, trzy razy się żenił. Po raz pierwszy, kiedy miał dwadzieścia sześć lat. Teodozja Szymańska była od niego dużo starsza. Rozeszli się już w kilka tygodni po ślubie. Zresztą los dla Szymańskiej nie był łaskawy. W dwa lata później zmarła. Musiała jednak w życiu poety coś znaczyć, bo ślady tego krótkiego, przełotnego związku są widoczne w jego twórczości.

Na swoją wielką miłość przyszło Kasprowiczowi czekać sześć lat. Zjawiała się nagle, jak najczęściej zjawia się każda wielka miłość. Jadwigę Gąsowską poznał we Lwowie, mieście, które w jego życiu było tym, czym Paryż dla Mickiewicza. Różnica, jaka dzieli Lwów od Paryża, dzieli również poezję Kasprowicza od Mickiewicza. Po kilku miesiącach znajomości, co raczej w owych czasach w pewnych śladach należało do rzadkości, trzydziś-troczyletni Kasprowicz, usiłujący żyć z literatury i dziennikarstwa, żenił się z Jadwigą, która powołała mu dwie córki, te, które przeżywały później na Harendzie i przyniosła autorowi wielu hymnów, nie tylko metaforyczne cierpienia i upokorzenia. Dla nieprawdopodobnie ambitnego poety, były one trudne do zniesienia. Tym bardziej, że Kasprowicz był już wówczas osobą szesnastoletnią. W dziejach literatury żąd na chyba kobieta nie dała żadnemu pisarzowi tak popalić, jak ta.

Kasprowicz, syn chłopca i chłopki, z wieloletniej rodziny, uparty jak wół, pracowity jak koń, bo inaczej do niego by nie doszedł, w życiu codziennym nie był ojcem świętym. Szczególnie, jak to najczęściej się dzieje, szło z nim razem z pechem. Zakała w jego życiu okazał się dobry znajomy z młodości, ziemiak, Stach Przybyszewski, największy jak dotąd w naszej literaturze pijak, rozpustnik i uwodziciel, człowiek, którego natura nie tylko obdarzyła talentem literackim, ale i chucią. Z talentu Przybyszewskiego niewiele dziś już pozostało, może wspomnienie o współczesnych i listy do kobiety. Z wielu jego dzieł jedno okazało się niemal genialne, „Sprawa Danton’a” Stanisławy Przybyszewskiej to wielki utwór naszej nie tylko dwudziestowiecznej literatury. Prosząc malarkę Pająkową, matkę Stanisławy, o pieczęć, która nigdy przy nim się nie trzymała, w tym samym czasie namawiał Kasprowiczową na schadzki do parku we Lwowie. I Kasprowiczowa uległa. Zresztą trudno jej się dziwić. Jeśli Przybyszewski tak rozmawiał z kobietami, jak do nich pisał, to z pewnością uległaby mu także święta Teresa. Romans Przybyszewskiego z Kasprowiczową, godny samodzielnego filmu, trwał kilka lat i na przekór zwyczajowi a także literackiej konwencji, gdzie zwykle kochankowie się rozchodzą, albo któregoś z nich umiera, za kończył się małżeństwem. Małżeństwem potępieniem przez córki, stąd ich obecność na Harendzie w cieniu czy blasku wielkiego ojca.

W życiu, jak w przyrodzie, trudno o pustkę. To, co Kasprowiczowi zabrala Jadwiga, z nawiązką dała Marią, rodem z Buninów, Rosjanka, którą poeta, już po ślubie Jadwigi z satanistą Przybyszewskim, poznał w Sorrento, kiedy podróżował po Włoszech. Była to miłość od pierwszego wejrzenia. W cztery lata później pobrali się. On miał 51 lat, ona 24, co nie jest, oczywiście, niczym zdrożnym i jak wiadomo w pewnych sferach zjawiskiem niemal powszechnym.

W Harendzie, w pokoju bibliotecznym wisi portret Maryi Janowej Kasprowiczowej, jak to się ona zwłoka podpisywać, namalowany przez Witkacego. Połowe jej twarzy zajmują oczy. Oczy wszystkich portretowanych przez Witkacego kobiet są demoniczne. Nie widziałem Marii Kasprowiczowej i nie wiem, czy istotnie w jej oczach krył się demon. Na pewno była piękna. I do tego miała jeszcze piękny charakter, co się rzadko zdarza kobietom o ładnych oczach.

Maria Kasprowiczowa po 1917 roku została oddzielona od matki i siostr,

które pozostały w ogarniętej rewolucją Rosji. Jak wiadomo, Kasprowicz należał do tych, którzy zabiegali u władz austriackich o uwolnienie Lenina, więc zionęgo w Nowym Targu Lenin, stojąc na czele Rosji Radzieckiej, nie zapominał o tym. Zgodził się na wyjazd do Polski matki i siostr Marusi. Matka, też Maria, nie uwielbiała swego zięcia, którego przeżyła o dwa lata. Dopiero po jego śmierci zamieszkała na Harendzie.

Na Harendzie była też Jadwiga. Od córek zeszła do kuchni i zapytała Marię, czy może wejść do pokoju, w którym kończył żywot jej pierwszy mąż. Kasprowicz, zgodnie z zasadą chrześcijańskiego miłosierdzia, miał jej wszystko przebaczyć. Jadwiga przeżyła go o rok.

Pierwszego sierpnia 1926 roku zmarł i został pochowany w grobowcu rodzinnym Dłuskich na starym cmentarzu w Zakopanem. Zegnał poetę także Przybyszewski, czym wielu wprawił w osłupienie. Omal nie doszło do awantury. Powaga chwili wzięła jednak górę pod górami. W rok później też już nie żył. Połowa lat dwudziestych to były czarne lata dla polskiej literatury. Odchodzili jeden za drugim ówczesni najwybitniejsi: Żeromski, Reymont, Kasprowicz, Przybyszewski.

Na apel Staffa, Makuszyńskiego i innych do Zakopanego zaczęły napływać datki na budowę mauzoleum Kasprowicza na Harendzie, którego niektórzy wówczas uważali za czwartego wieszcz. Przeniesienie zwłok nastąpiło w siedem lat po śmierci poety: 1 sierpnia 1933 roku. I znów, jak przeczytałem w jakimś przewodniku po Zakopanem, cała Polska oddała hołd autorowi „Księgi ubogich”.

Nie przypominam sobie, aby sześćdziesiąt rocznicę jego zgonu odnotowało u nas jakieś ważniejsze pismo. Twórczość Kasprowicza wydaje się na dłużej zalegała na dnie czyśca i te trzy dziesięć tysięcy, bo tyle osób corocznie odwiedza Harendę, bardziej interesuje się życiem poety niż jego twórczością.

Do wierszy Kasprowicza zrazili mnie swego czasu inny poeta, też z chłopięcego rodu, i tak już do dziś pozostało. W swoich „Chamulach poezji” rozprawiał się z nimi bezpardonowo i, co trzeba przyznać, sugestywnie. Parę razy Juliana Przybysia nagabywałem o ten szkic, ale nie podjął tematu. Może, sam będąc już u kresu życia, miał wyrzuty sumienia, wstydził się tej swojej chłopięco — młodzieńczej zapalczowości czy nawet zajadłości. Poeta, który był wyznawcą zasady: najmniej słów, jak najwięcej treści, sam przecież z czasem popadł w poetyckie gadulstwo, jakby tamten spoza grobu, a właściwie z mauzoleum zaczynał po-mału odnosić zwycięstwo. Swojej rozprawy o poezji Kasprowicza Przybysia nie włączył do powojennego wyboru szkiców. Myślę, że jeśli ciągle akceptował jej treść, to odrzucał ton, język, formę. „Chamulki” ukazały się, kiedy Kasprowicz umierał na Harendzie.

Mariśka przeżyła swego męża o 42 lata i już do końca pozostała wielką wdową. Przepisywała na maszynie, która zachowała się, jego rękopisy, dbała o dobrą o nim pamięć, popularyzowała twórczość, pielęgnowała mauzoleum, które stało się, dosłownie, częścią jej domu. Większą część swego życia przeżyła, dosłownie, o kilka kroków od doczesnych szczątków męża — poety. Też temat na film.

Dlaczego powtórnie nie wyszła za mąż? W chwili śmierci Kasprowicza nie miała jeszcze czterdziestu lat. Była w rozkwicie kobiecej urody, dość pożądana, sławna towarzysko, odwiedzana na przez wielu. Harena przez całe lata była sławnym, żywym literackim domem. Nie muzeum, jak dzisiaj. Sporo na ten temat jest plotek. Myślę, że jako kobieta nie tylko dużej piękności, ale i mądrości, co rzadko się zdarza, wolą być dogonianą wdową po wielkim człowieku, niż żoną jakiegoś pijaczyny bożego, nawiedzonego zbawiciela świata czy jurnego, ale głupawego gądzia. Po prostu kochała Kasprowicza jedyną, jaką posiadała, miłością, której później nie chciała roz-mienić. Takich kobiet dzisiaj chyba już się nie spotyka. Miłość Heloizy i Abelarda, żon zesłańców, które za nimi na zle i dobre szły na Syberię, Marusi do Kasprowicza, to już zjawisko poza przesłę. A może jeszcze gdzieś tak się kochają, tylko po prostu nie o tym nie wiemy? Wnetże człowieka tyle kryje miejsc nawet przez niego samego nie rozpoznanych, jak planety we wszechświecie, że trudno tutaj o jakąkolwiek jednoznaczność. Pewne jest tylko to, że Maria Kasprowiczowa spoczywała na tym samym, co Kasprowicz, w tym samym mauzoleum, tylko wyżej, jakby bliżej słońca i jednak w cieniu mauzoleum poety, który ją zabrał ze sobą do dzieł literatury, często ciekawszych od niej samej.

Anita Simonjetz

którego nigdy nie było  
ustawiam obok lub pozwalam  
żeby odszedł bez słowa

jemu nadaję spokojne imię  
jeszcze jedno  
pozwalam  
żeby jego dłoń  
wędrowała ścieżkami mojego ciała  
i dobrze wiem  
jestem kobietą jego życia

którego nigdy nie było  
mogę pokochać

on mi wybaczy  
małomówność i smutek

zna swoje łagodne imię  
i nie opuści mnie  
jeśli się pomyłę

jestem zaledwie kobietą  
nie dość silną by  
nie obeszła mnie cisza  
by  
nie bolało

zaledwie kobietą powtarzam  
z wąską smużką obrączki na palcu  
o niewymiernym zachwycie  
i smutku utrwalonym w oczach

jak mogłabym powiedzieć  
znieść swoją  
zbyt odległą obecność  
choćbyś twój cień nie chce mnie opuścić  
nawet na krok

jestem tylko samotną kobietą  
poślubioną tej kosztownej wierze  
w twoje istnienie

a jeśli krzyk  
to czy choć połowę rozpaczy  
uwolnię z moich piersi

boli mnie skóra  
od obcego dowyku  
to nie  
zmieniłam już sto razy swoje imię

ci mężczyźni  
zabierają mi je  
i odchodzą

a jeśli krzyk  
to czy nareszcie stanę się kobietą

wybac kochany nie jestem ci wierna  
tamta kobieta czyta moje wiersze  
a ja nie daję spokoju wspomnieniom  
i moją pamięć odświeżam na deszczu

jestem kobietą i nie mogę zasnąć  
a tamta druga po lustrzanej stronie  
również popycha wskazówki zegara  
o zle sekundy wciąż kalecząc dłonie

najpierw był zegar teraz jest kalendarz  
ale poza tym nie się nie zmieniło  
popelniam nadal swoje stare błędy  
i ciągle nie wiem co to znaczy miłość

i coraz bardziej boję się wieczorów  
i tej kobiety co patrzy z lusterka  
na obcych mężczyzn w naszym wspólnym domu

wybac kochany nie jestem ci wierna

wszyscy odchodzą zostajemy same  
a między nami tylko zarysowujące się  
obie placemy przeklinamy pamięć  
potem do rana zegarek i pustka

spaliłam listy rozbiłam lusterko  
mój zegar stanął i zasnął kalendarz  
pamięć mnie boli warkocz rozpleciony

jestem ci wierna

wciąż jestem ci wierna

## DZIECIOBÓJCZYNI Z RACULI

Jerzy Piotr Majchrzak

30 października 1790 roku około piątej po południu do raculskiego sołtysa Hubaszkę przybiegł mocno wystraszony panna robek miejscowego młynarza Hampla. W szuwarach młynskiego stawu znalazłono zwłoki noworodka w stanie silnego rozkładu. Mistrz Hampel prosił o natychmiastowe przybycie. Sołtys Hubaszek, jednocześnie z urzędu wiejskiej służby i policjant, po przybyciu na miejsce stwierdził, że znalezione zwłoki są płci męskiej, w wodzie leżąc musiały okolo tygodnia. Należy natychmiast za-wiadomić władze w Zielonej Górze, które przeprowadzą dokładne śledztwo. Mimo sprzeciwu raculskiego pastora, zwłoki noworodka, owinięte w płótno, złożono w kaplicy miejscowego cmentarza.

Jeszcze przed przybyciem komisji śledczej z Zielonej Góry, sołtys Hubaszek przeprowadził swoje prywatne śledztwo, polegające na „przyjrzeniu się” niezamężnym niewiastom Raculi, czy aby w stosunku do któregoś z nich nie zachodziło podejrzenie „ukrycia brzemienności”, a po tajemnym urodzeniu dziecka — pozbicia się go. W wyniku tego Hubaszkowego śledztwa, w sferze zainteresowań sołtysa znalazła się córka ogrodnika Ludwika Palki — 21-letnia Anna Rozyna. W swoim czasie we wsi dużo plotkowano o rzekomej „odmienności” Anny Rozyny, a że w każdej plotce, zdaniem sołtysa Hubaszkę, ukryte jest ziarenko prawdy, na wszelki wypadek szepnął sędziemu śledczemu z Zielonej Góry, radcy Hansenowi, aby dziewczynę przesłuchał.

2 listopada komisja z Zielonej Góry przybyła do Raculi. W domu sołtysa Hubaszkę towarzyszący Hansenowi me-dyk miejski Łukas dokonał oględzin, a następnie sekcji zwłok. Orzeczenie brzmiało: dziecko w chwili narodzin oddychało, więc żyło. Śmierć nastąpiła kilka godzin po ujrzeniu światła bożego. Zostało uduszone i wrzucone do wody.

3 listopada przed oblicze sędziego Hansena przyprowadzono Annę Rozynę Palkównę. Nie pomogły protesty rodziców, ani wstawianictwo pastora. Anna Rozyna musiała odpowiadać pod przysięgą na krzyż i biblię na pytania. Rezultaty śledztwa przeszły wszelkie oczekiwania. Ci, co już wcześniej podejrzewali Annę, że „coś nie w porzą-

ku jest pod jej fartuszkem”, zacierali ręce: „...a co, nie mieliśmy racji, przed wsią nic się nie ukryje!” Inni biadolili: „...co za wstyd i hańba...”, z takiej porządkowej rodziny a dzieciobójczyni! Palkówna, po okazaniu jej „corpus delicti” za-lamała się i przyznała, że jest matką tego dziecka. O ojcu wie tylko tyle, że na imię ma Rudolf i że był koniuszym u harabiego Stosza w Starym Kisieliu.

Tego samego jeszcze dnia Anna Rozyna została przewieziona do Zielonej Góry i osadzona w lochu Bramy Dolnej, służącej w owym czasie jako więzienie miejskie. Proces dzieciobójczyni z Raculi rozpoczął się przed sądem grodzkim w Zielonej Górze 7 listopada 1790 roku.

Rudolfia poznała około półtora roku temu na jarmarku w Zielonej Górze. Rosły, silnie zbudowany koniuszy spo-dobał się jej i nie odrzuciła jego zało-tów. Obiecywał małżeństwo. Pobiorą się, gdy tylko odłoży nieco grosza, by móc stanąć na swoim. Stary Palko był nawet zadowolony, że jego najstarsza znalazła w końcu narzeczonego, była bowiem już w tym wieku, że najwyższy czas było wyjść za mąż. A o gospodarstwo można będzie przekazać. Bóg mu nie dał syna, więc Anna i Rudolf prze-jmą po nim wszystko. Wizyty Rudolfa stawały się coraz częstsze; coraz częściej także, w tajemnicy przed rodzicami Anny, wkradał się nocą do jej izby. To co musiało się stać, stało się gdzieś przy końcu stycznia. Kiedy Anna po-czuła, że „coś się w niej dzieje” i kto-rej nocy zwierzyła się z tego faktu Rudolfovi, ten już więcej nie pokazał się. Palko zasięgnął języka u dworu w Starym Kisieliu. Dowiedział się tylko tyle, że koniuszy zażądał odprawy i wyniósł się. Dokąd? Nie wiedział. Miał się zaciągnąć do wojska.

Zniknięcie „narzeczonego” Anny nie uszło uwadze wsi. Wszyscy obserwowali Palkównę, co też z nią będzie się da-lej działo. Aby złym językom dać od-prawę, matka Anny, w obecności kil-ku poważnych raculskich gospodyń i za-godą pastora, przeprowadziła „wizję lokalną” swojej córki. Objawów brze-mienności nie stwierdzono. Anna też zaprzeczała, jakoby „cielesnie” obcowa-ła z koniuszym Rudolfeim.

Miesiące mijały. Czuli, że „to” roś-nie w niej mimo braku zewnętrznych objawów. Była dziewczyną krępką, przy pomocy płóciennych bandaży łat-wo było jej ukryć zarysowujące się z-lekka wypukłość. Ale na jak długo? Zauważyła, że matka nieraz obserwu-je ją z boku bardzo bacznie. Czyżby coś podejrzewała? Anna, jak zwykle, wykonywała przypisane jej w gospodarstwie obowiązki, regularnie uczęsz-czała do kościoła, jeździła z ojcem na targ do Zielonej Góry.

19 października przyszło rozwiąza-nie. Urodziła w ogrodzie, wśród zleża-tych głów kapusty. Straciła przytom-ność. Kiedy doszła do siebie, stwierdzi-ła, że dziecko jest martwe. Owinięta noworodka w swój fartuch i powlokła się w kierunku stawu młynarza Ham-pla. Nikt jej nie widział. Zawinątko wrzuciła w gęsto rosnące na brzegu stawu szuwały. Potem ponownie straciła świadomość. Ocknęła się późnym wieczorem. Doprowadzwszy się jako-tako do porządku, poszła do domu. Do-mownicy nie zwrócili uwagi na nie-obecność Anny. Jakby nigdy nie za-brala się do swoich prac gospodarskich. W nocy dostała wysoką gorącz-kę. Rano, mimo znacznego osłabienia, stanęła do zwykłych prac.

Sąd, po wysłuchaniu Anny, udał się na naradę. Protokoły sądu grodzkiego milczą na temat ewentualnej dyskusji-lawników o postępkach Palkówny. Spra-wa była precedensowa. Sądownictwo-zielonogórskie nie znało dotychczas przy-padku dzieciobójstwa i to dokonane-go w takich okolicznościach. Wina tej ko-biety była jednakże bezsporna. Popeln-iła zbrodnię. Skazać ją na śmierć? na chłostę i wygnanie? na długotermi-nowe więzienie? A jaką karę ponieś-sie za uwiedzenie Rudolfa? Nikt nie wie, gdzie ów właściwy sprawca tej trage-dii się obraca?

Wyrok ogłoszono 9 listopada 1790 ro-ku. Anna Rozyna Palkówna, lat 21, córka Ludwika, ogrodnika z Raculi, wyznania ewangelickiego, stanu wolne-go, uznana została winną zbrodni dzie-ciobójstwa i skazana na karę ciężkiej chłosty i wygnanie z rodzinnego domu i wsi, publiczne potępienie i ogolenie głowy jak również naznaczenie jej le-wej piersi piętnem dzieciobójczyni.

Postanowienia wyroku wykonano 11 listopada na placu Drzewnym w Zie-lonej Górze. Kilka dni później rybacy z Bobrownik znaleźli w przybrzeż-nych wodach Odry zwłoki młodej ko-biety, z wypalonym piętnem na lewej piersi. Grób Anny Rozyny znajduje się gdzieś na brzegu Odry w pobliżu Bobrownik.

Jarosław Broneczek składał się z dwóch przeciwnych sobie połówek; już samo nazwisko było tego potwierdzeniem. Jarosław brzmiało po męsku, twardo, przypominało Bizancjum, więc miało coś z posmakem tego okrucieństwa, które zawsze jest w człowieku, a którego ludzie tak się wypierają i wstydzą. I to była ta połówka zdecydowana, daleka od szlachetności, ale piękna w swojej stanowczości, po ludzku z ciemnymi plamami egoizmu, zachłanności, szczególnie erotycznej.

Natomiast nazwisko Broneczek było zawsze utrapieniem jego właściciela, bowiem brzmiało miękko, pieszczotliwie, zniewieściano; kiedy przed stawiał się, wydawało mu się, że na jego dźwięk ludzie uśmiechają się, jeśli nie z politowaniem, to z pobłażaniem; był przekonany, że niektórzy słysząc to nazwisko tłumia wyzwalającą się w nich śmiech. Ponadto Broneczek brzmiało infantylnie, i z tego powodu miał jego właściciel dodatkowe kłopoty od najmłodszych lat, od kiedy zaczął jakoś tam funkcjonować nie tylko imieniem na tym świecie wśród ludzi. Mógł, i o tym myślał wiele razy, zmienić nazwisko, nigdy jednak nie zdecydował się na to, nie tylko ze względu na swoich przodków, których w ten sposób wyparłby się, raczej uparł się, że swoim twardym i męskim życiem przekreśli infantylne brzmienie nazwiska, zmusi do szacunku swoją osobowość i czynami, że na jego dźwięk nikt nie uśmiechnie się z pobłażaniem, a będzie czuł respekt, poważanie, może nawet lekkie strach (Jarosław Broneczek nie chciał nigdy, żeby ludzie bali się go naprawdę, jak boją się złoćców i tyranów). Już od lat młodzieńczych wystrzeliła w nim jak pożar zachłanność erotyczna. Ta dziedzina, pełna mrocznych kompleksów nie tylko Edypa, czyniła z niego erotomana, wypełniała go całego od pier wskich klas szkoły podstawowej, nie mówiąc już o średniej. Kochał się więc w tamtym czasie na zabój (bez ludzkiej pamięci ani przyzwyczajenia do objawiania miłości) zarówno w swoich rówieśniczkach jak i w nauczycielkach. Wszystkie niezmierzające (najczęściej) obiekty jego uwielbienia publicznie go wysmiewały i upokarżały; to była ich odpowiedź na równie publiczne jego umizgi realizowały się w nocy lub w chwilach wspaniałych uniesień, których samogwałt coraz częściej bywał rozkosznym ukoronowaniem.

Niestety, Jarosław Broneczek, oprócz odwagi w swoim patetycznym wyznawaniu miłości, w gruncie rzeczy w sferze czysto erotycznej, zmysłowej, był nieśmiały. Dowodem tego fakt, że fizyczne dziewictwo (chodzi o stosunek płciowy) stracił dopiero gdzieś w połowie studiów, oczywiście, z o wiele starszą od siebie kobietą, co raczej jest zwyczajne, i co udowodnił już dawno temu Dafnis i Chloe. Nawet po tym fakcie, który miał miejsce pół życia wstecz, drugą połowę życia Jarosław Broneczek wcale nie wypełniał — mimo najmocniejszych marzeń — normalnym życiem erotycznym, jak większość mężczyzn. W dalszym ciągu, wciąż wewnętrznie płonął (może raczej „gorzał”) słownym, platonicznie wyidealizowanym erotyzmem do poszczególnych, jeśli tak można sformułować, obiektów; niestety w sensie praktycznym w dalszym ciągu był nieśmiały. Wiedział Jarosław Broneczek dlaczego tak się dzieje, domyślał się wyraźnie przyczyny; to skutek wychowania, ryżów, w jakich był trzymany w dzieciństwie i wczesnej młodości. Ach, powiedzmy prawdę, dla Jarosława Broneczka każde zbliżenie z kobietą zawierało aspekt grzechu (nazwalimy to dość delikatnie). To tyle gwoździ wprowadzenia do naszej opowieści o Jarosławie Broneczku, człowieku w sferze erotycznej doskonale rozpoznanym, podzielonym na dwie samolodne i przeciwne połówki żyjące w jednym ciele, mające jedno serce i jeden mózg. Jeszcze tylko tyle należałoby powiedzieć, że piekielnie odcisnął się na osobowości naszego bohatera romantyzm ze swoją postawą uwielbienia kobiety, którego źródłem zawsze jest kompleks i cierpiętnictwo wypływające z masochizmu.

Jarosław Broneczek ma aktualnie czterdzieści pięć lat, żonę i troje dzieci, i marzy w dalszym ciągu o wielkiej, jedynej miłości bez której wie, że będzie uważał życie za zmarnowane, nie nie wartę. Niestety, chcąc opowiedzieć o dorosłym życiu Jarosława Broneczka, także nie unikniemy historii, tyle, że nie będziemy cofać się aż tak daleko wstecz. To przecież, co na wstępie powiedzieliśmy, tylko cząstka wiedzy o naszym bohaterze. Jarosław Broneczek jest aktualnie zakochany, nie, to nieprawda, to już nie ten człowiek, tym razem dominuje w nim jego inna połówka, ta zdecydowana i męska, więc teraz Jarosław Broneczek nie tyle, że jest zakochany, co chce zdobyć trzydziestoletnią dziewczynę, która nazywa się Elżbieta Potecka. Miał ją na oku od kilku dobrych lat i teraz wie, że nadarza się okazja na zrealizowanie swego celu. Bardzo go ona pociąga, bowiem dziewczyna uchodzi za intelektualistkę i na pewno uprawia miłość perwersyjną — a tego przecież pragnie dominująca teraz w nim druga połowa jego osobowości, ta męska i zdecydowana, której symbolem w nim samym jest imię. Dusząc więc tę połowę od nazwiska, leży sobie Jarosław Broneczek i rozmyśla o perwersjach, jakie oto będą jego udziałem podczas zbliżenia z Elżbietą Potecką. To ciekawe, że teraz marzy o perwersji, a kiedy zdarzyło mu się czasem coś takiego, wtedy napawało go to wstępnym, odrazą. Można by więc z tego faktu wysnuć prosty wniosek, że w takich chwilach brała w nim górę połowa od nazwiska.

Jedną z takich przygód zdarzyła mu się piętnaście lat temu. Był Jarosław Broneczek w odwiedzinach u kolegi w innym mieście, w pewnej chwili postanowili pójść pobawić się. Wybrali najgłośniejszy w tym mieście nocny lokal, od razu poczuł się kawalerami, ludźmi wolnymi; jak tylko weszli do środka. Zamówili pół litra z zakąską i zaczęli rozglądać się, którą by u poderwać; wreszcie przykuwali dwie dziewczyny, zatańczyli i przystąpili do swego stołu. Dziewczątka były fajne i bezpośrednie, szybko się samo przez się ustaliło, która Jarosława, a która jego kolegi. Oba byli zachwyceni swoimi partnerkami. Po którychś tańcach, kiedy pili kolejną toast, partnerka kolegi Jarosława Broneczka wzięła szklankę i lekko podchmiele głosem powiedziała „Ktoż z was zje ten drobiazdek?” Zasmiali się szerzej jak z dobre go dowcipu, po kilku sekundach jednak obaj skonsternowani patrzyli ze zdumieniem nie wie rząc własnym oczom. Dziewczyna wsuwała szklankę nieczym kruche ciasteczko; jeszcze dotąd, gdy przypomniał sobie Jarosław tę sytuację, sły

szły charakterystyczny odgłos ślicznych zębów miażdżących z pasją szklanki. Kiedy pozostało już tylko dno, dziewczę wdzięcznym ruchem wyciągnęła rękę i rzekła „Tego już nie mogę, może któryś z was, mężczyzn, spróbuje”. Jarosław był bardzo zadowolony, że taka zwariowana dziewczyna przypadła jego koledze a nie jemu. Nad ranem znaleźli się w przytulnym mieszkanku partnerki Jarosława (rodzice na tydzień wyjechali). Na którymś etapie znajomości kolega gawędził ze swoją w kuchni, on z swoją w pokoju (to było mieszkanie jego partnerki). W pewnej chwili dziewczę przeprosiło Jarosława ze słowami „Pójdę się przebrać”. Kiedy dziewczyna wyszła do łazienki, zgasił światło, bo zawsze w tych sprawach starał się być delikatny, okazywał swego rodzaju wstydlivość. Wyczuł, że dziewczyna wróciła w nocnej koszuli. W czasie pieszczot, gdy natrafił na jakikolwiek zakamarek ciała partnerki, coś oblaźło jego rękę, jakieś nieduże białawe kuleczki przebiegały po jego ręce i spadały na podłogę rozbiegając się we wszystkie strony. Kilka razy powrócił czynność i wciąż to samo. Wreszcie nie wytrzymał i zapalił światło. Na podłodze dostrzegł stado biegających białych myszy. Zerwał się więc jak oparzony, zastukał do drzwi kuchni, gdzie urzędował jego kolega, i krzyknął że już wychodzi. Zbiegł ze schodów jak szalony a za nim dopytujący się kolega, co się stało. (Kiedy przy wódecie opowiadał czasem tę historię, nikt mu nigdy jeszcze nie uwierzył, wszyscy wybuchali śmiechem; widział w delirium tremens białe myszki!) I tak to skończyła się

czył nad sobą krzyże. A więc wpadł do świeżo wykopanego dołu mogilnego! Wreszcie, ostatnim wysiłkiem woli wygrzebał się, był jednak ledwo żywy po tej strasznej samotności. Zdarzenia tego nie mógł inaczej odczytać jak tylko karę za grzech! Teraz może się z tego śmiać, wtedy na długo był przerażony i przez pewien czas nie śmiał spojrzeć na kobietę poniżej pasa. Jarosław Broneczek kończy te nieprzyjemne dla siebie rozmyślenia, które wyzwalają w nim złość na samego siebie, na własną głupotę. Za kilka godzin będzie w mieszkaniu Elżbiety Poteckiej. Zaprosiła go do siebie trzy dni temu.

Wiedział, że Elżbieta Potecka, po tylu bezowocnych z jego strony umizgach do niej, nie za prosiła go bezinteresownie. Teraz jednak Jarosław Broneczek był inny, i ten fakt wcale go nie zrażał. Kiedyś brzydził się kobietami, które szły z facetami do łóżka dla korzyści. On zawsze chciał miłości czystej, bezinteresownej; on, Jarosław Broneczek, traktował zbliżenie z kobietą jako coś więcej niż zbliżenie, nadawał temu wymiar i znaczenie jakiegos witalnego symbolu, coś w rodzaju, gdyby nie zabrzmiło to staroświecko, polednia się dusz, osobowości; potem erotyzm jest tylko praktyczną koniecznością

Trzy dni temu szedł do Elżbiety Poteckiej z nadzieją, że być może przeżyje z nią coś, co będzie czyste, subtelne, a jednocześnie perwersyjne. Oto jak teraz, w wieku czterdziestu pięciu lat, Jarosław Broneczek postanowił zjednoczyć swoje dwie połowy ciała, tę męską i bezwzględnie, przepełnioną ideą seksu, która nazywała się Jarosław, i tę subtelną, miłą, która wabiła się Broneczek.

Elżbieta Potecka przyjęła go sympatycznie i naturalnie, zrobiła herbatę, podała ciastka i wyciągnęła wino domowej roboty. On nie przyniósł alkoholu, bo nie chciał wzbudzić podejrzeń, że przychodzi w niecznych zamiarach. Cały jednak drań siedząc sam na sam z dziewczyną, szczególnie drażniła druga połowa o nazwie Jarosław; postanowił jednak, czekając na to, po co przyszedł, wykorzystać tym razem drugą swoją połowę o nazwie Broneczek! Mianowicie, nie zrobił przedwcześnie żadnego gestu, który by go zdenuncjował, obnażył jego prawdziwe zamiary. Gospodyni opowiadała nowinki z miasta, z kraju, a nawet ze świata; mówiła o swoich najnowszych lekturach; we wszystkim, co powiedziała, reprezentowała kobietę nowoczesną, wyzoloną, słowem, pełną gębą intelektualistkę. Jarosław uczestniczył w rozmowie, najchętniej zgadzał się z nią, od czasu do czasu wyrażał jednak, trochę inny pogląd niż ona, nie, nie przeciwny, a trochę inny, zmodyfikowany. Nie mógł się jednak doczekać w nim Jarosława finału, tego najważniejszego, po co przyszedł; tłamsząc Broneczka sam nawiązał do sprawy przejścia jej do Biura Projektów, o czym marzyła od dawna, a w czym teraz przyrzekł jej pomóc. Postanowił zapłacić taką cenę (postąpił niecień!), aby tylko osiągnąć cel. Jarosław powiódł postawą nowienie, że odtąd nie będzie aż tak czysty, piękny i nieskazitelny, bo one są przecież tego niegodne. Ucieszyła się, że jej pomoże, nie zrobiła jednak najmniejszego gestu. A on przecież czekał, żeby dziewczyna — i to byłoby rekompensatą za wszystkie jego upokarzające wyzbywania — teraz jego zaprzęgnęła. Na nie takie go jednak wciąż nie było widoków, przynajmniej nie na to nie wskazywało po zachowaniu się Elżbiety Poteckiej. Chociaż nie, przypomina sobie, raz miała miejsce sytuacja, gdy bardzo pragnęła go kobieta. Był w jakimś mieszkaniu z tym samym kolegą, z którym zdarzyło mu się to ze zjedzoną szklanką i białymi myskami. Poszli tam po wielkim pijaństwie w towarzystwie kobiety, która dołączyła do nich w lokalu. Wtedy Jarosław Broneczek nagle stwierdził (trochę wytrzeźwiał), że kobieta jest stara, niechlujna i okropnie brzydka, odrażająca. Kolega ułotnił się niepostrzeżenie a on został sam na sam z kobietą, która natychmiast zaczęła go ciągnąć do łóżka. Próbował wyjść, ale okazało się, że drzwi są zamknięte. Kobieta leżąc już w łóżku odzywała się do niego (do tej chwili pamięta każde jej słowo): „Tu jest klucz, wyjdiesz jak mnie popieścisz ociupinkę”. Nie, nie dał się wtedy, tak długo opierał się i nie chciał o niczym słyszeć aż nastąpił dzień i kobieta musiała iść do pracy. Było to za miastem, więc biegł stamtąd, jakby leciał na skrzydłach! I wtedy znowu postanowił nie zadawać się z brzydkimi kobietami, w ogóle z kobietami! przygodnymi. Znowu jednak w stanie zamroczenia alkoholowego zdarzało mu się, że budził się w jakimś domu i kiedy zorientował się, z kim miał do czynienia, chciał mu się rzygać i nabierał obrzydzenia do samego siebie. I znowu jakiś czas brała w nim górę szlachetna jego połowa o nazwie Broneczek, zawsze jednak tylko do czasu. Teraz będzie zupełnie inaczej, cieszył się w duchu jak dziecko, kiedy gospodyni wciąż nie wracała z łazienki. Im dłużej nie wracała, tym siedział w coraz większym napięciu, zaczął wręcz z pod niecenia drzeć, bił się w myślach z pomysłem czy nie powinien się rozebrać i oczekiwać jej już w łóżku. Nie zrobił tego jednak, bo przypomniał sobie, że raz go jedna znajoma (och, śliczna była dziewczyna!) strasznie przerobiła. Był u niej w mieszkaniu. W pewnej chwili powiedziała, że idzie się wykapać. I wtedy poszedł do łóżka będąc pewnym, że o to chodzi. Ona jednak wróciła i wygoniła go na zbity pysk o niczym nie chcąc słyszeć. Wreszcie wraca Elżbieta, pani domu. Cholerne rozczarowanie. Jest tak samo ubrana jak była, nie przebrała się nawet w szlafrok! Jarosław, teraz razem z Broneczkiem (!) jest zły, co tam zły, jest piekielnie wściekły. Postanawia jednak nadal grać i nie dać poznać po sobie niczego; trzydziestoletnia Potecka, pani domu, siada i dalej gaworzy jak gdyby nigdy nic. Teraz sięga do szafki i wyciąga stamtąd jakieś papiery. Zaczyna mu czytać o to wiersze o treściach religijno-patriotycznych. Potecka mówi, że dostała je od swojej przyjaciółki, która przeżywa ogromnie emocjonalnie obecną sytuację w kraju; pokazuje Jarosławowi Broneczkowi jej list, w którym historia graniczy z fanatycznym klerykalizmem. Jarosław odważył się zauważyć, że przez całe wieki najbardziej nietolerancyjny był właśnie Kościół, który teraz domaga się tolerancji, i dalej dodaje, że doszło do tego, że dziś księża rządzą krajem Elżbieta coś bąka pod nosem, wyrażnie swego zdania jednak nie wyjawia; „o” stanowiła robić karierę, więc jest ostrożna, działa na dwie strony: bierze przecież jednocześnie udział w jakichś tam religijnych zjazdach. Broneczek widzi oto przed sobą rodzaj współczesnej Polki, która za wszelką cenę chce coś znaczyć, co więcej, chce rządzić. Cholerne emancypacja, kobieta powinna być kobietą, i jeśli spełniałaby swoją rolę zgodnie z naturą i odwieczną jej funkcją, byłaby to ideał. Teraz dąży do tworzenia siebie na kształt jakiegoś monstrum, ni to kobiety, ni mężczyzny. Elżbieta czyta następny wiersz-modlitwę. Jarosław przytacza przykład swojej znajomej, dziewczyny fanatycznie religijnej, wręcz dewotki, która zmienia sobie partnerów jak rekawiczki. Myślał, że Potecka to zbulwersowała, ale nie, jest ona przecież intelektualistką. Wypili domowe wino, wypili chyba po trzy kawy i zrobili to późno, aby przystąpić do ataku.

(CDN)

## ZYCIE erotyczne Jarosława Broneczka

Czesław Kuriata



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

Jarosława Broneczka pierwsza szansa na perwersję.

Od tamtego czasu bywały jednak chwile, podczas których żalował, że uciekł, stehorzył, haniebnie zdezerterował. Cholera, trzeba było przecierpieć, może te myśli były jej potrzebne jako preludium, może byłaby doskonała, przebiegła nigdy nie miał doskonałej erotycznie! Mimo jednak tych marzeń zawsze w zbliżeniach z kobietą chciał być delikatny, wstydlivy, stonowany (nawet chwilami narzucał sobie wstydlivość, zmuszał się do stonowania). Wszystko to wynikało z postawy szanowania partnerki, traktowania jej jak równorzędnego człowieka. Dziś Jarosław Broneczek uważa, że był to efekt braku jego wychowania seksualnego, całkowite niezrozumienie seksu ani kobiety; co więcej, był zawsze delikatny, bo nigdy nie chciał spłoszyć kobiety, stracić u niej szansę. Cholerny ka botyn, już nigdy tak nie postąpi. Ach, to wsty skto pewnie wynikało stąd, że wciąż zbliżenie z kobietą traktował jako grzech, więc nawet przed samym sobą chciał to robić jakby w ukryciu, jakby kradł.

Kiedy miał już dwadzieścia pięć lat, zdarzyło mu się coś, co wtedy jakby potwierdzało, że takie rzeczy są grzechem. Oto był na delegacji w pewnym miasteczku gdzie poznał dziewczynę, która naprawdę mu się spodobała, ona też od pierwszej chwili darzyła go wzajemnością. Spędził u niej noc, z której jak rzadko w swoim życiu, był zadowolony. Kiedy nad ranem, a było jeszcze ciemno, wracał od niej i chciał skrócić sobie drogę do hotelu idąc na przełaj, wpadł w jakiś dół, z którego nie mógł się wygrzebać: dół był głęboki i wciąż, gdy postawił nogę, piasek się obsuwał. W pewnej chwili zob

cią tego wzajemnego, wielkiego pojednania. I znowu może to potwierdzić swoim życiem. Nigdy nie korzystał z kobiet lekkiego obyczaju, nie tyle dlatego, że brzydził się nimi, co dlatego; Jarosław każde zetknięcie się z nimi na takiej zasadzie (chodzi o pieniądze) traktował jako ich poniżenie. Pamięta, że raz mu się zdarzyło już nawet leżeć w łóżku z pewną dziewczyną z tego światła. Był zarówno w nocnym lokalu dla niej delikatny i czuły jak i wtedy, gdy poszedł do łóżka. Ciągłe jej powtarzał, że chce, aby wszystko między nimi, nawet to, było czyste. Przeleżał z nią całą noc jedynie całując się, bo na nic innego mu nie pozwoliła. Obok na łóżku jej koleżanka urzędowała ze Szwedem, głośno i strasznie, jak zwierzęta. Jarosław Broneczek chciał czysto, z uczuciem, więc powiedział, że jej nie zapłaci, bo nie chce ją poniżyć. I w rezultacie nie było. Jej koleżankę nad ranem wychyliła się z łóżka, w którym chrapał jak wiewprz rudy Szwed, powiedziała z niekłamnym zachwytem, sześciu do najwyższego stopnia: „Ależ mnie wykiszkował, jeszcze w życiu tak cudownie nie byłam kiszkowana. Och, jaka jestem szczęśliwa!” Nasz Jarosław Broneczek, słysząc to, przerażony szybko wyskoczył z łóżka i uciekł, wymknął się jak złodziej, żeby nikt go nie widział; wstydył się spotykać ludzi, zanim nie znalazł się na następnej ulicy. Tak Jarosław Broneczek był czysty i wstydył się takich rzeczy, choć wiedział, że jest wdzony na pokuszenie, był jednak dumny, że wytrzymał największe pokusy jak Słupnik.

# NASZE XXX lecie

W drugiej połowie lat 1960-tych „Nadodrza” wkroczyło w drugie dziesięciolecie swej działalności. Jubileuszowy 19 (138) numer pisma ukazał się w zwiększonej objętości 16 stron w październiku 1987 r. Nim jednak do tego doszło, redakcja odnotowała X-lecie Czwartków Lubuskich wielce zasłużonej dla kulturalnej tradycji Zielonej Góry imprezy, która była „oczkiem w głowie” Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej, nawiązującej z dużym powodzeniem trwającą do dzisiaj kontakt między twórcami i odbiorcami sztuki, literatury, nauki.

„Charakterystyczne — że instytucja „Czwartków” — stwierdził przy tej okazji w orędziowym komentarzu JK (Janusz Koniusz) — jest o pięć lat młodsza od Oddziału ZLP w Zielonej Górze. W województwie, zanim pojawił się literaci była działalność upowszechniająca literaturę. W minionym pięćdziesięciu wydano 41 tytułów. Literaturę powstającą na Ziemi Lubuskiej poddano krytyce. Jeszcze raz przypominano, że podobnie jak plastyka, teatr, nauka — pozostaje ona tutaj bez tradycji”. Ale jak stwierdził w swym wystąpieniu na sympozjum literackim zorganizowanym przez LTK z okazji V-lecia Oddziału ZLP Henryk Berez: „Pojęcie literatury zielonogórskiej nie może być znaczące nic innego jak to, że jest to polska literatura ogólnonarodowa tworzona przez pisarzy polskich, żyjących na tym terenie”. Był to kolejny wyraz uznania dla zielonogórskiego środowiska literackiego tworzącego w nienajłatwiejszych warunkach, z dala od ogólnopolskich centrów kulturowych — potwierdzony później niejednokrotnie autentycznymi dokonaniami twórczymi. W „Nadodrze” nr 2(121) opublikowano obszerny fragmenty szkicu Henryka Berez poświeconego prozie autorów lubuskich, zaś w nr. 6(125) fragmenty szkicu Zbigniewa Bienkowskiego na temat zielonogórskiej poezji. Istotnym przyczynkiem do tego była opublikowana w nr. 9(128) kolumna przekładów Eugeniusza Wachowiaka, z literatury NRD, co przez parę następnych lat stało się do roczną tradycją pisma.

Niezależnie jednak od tych jubileuszowych okazji pismo szeroko angażowało się w aktualne w tamtych czasach problemy regionu. Śledziło postępy na „Lubuskiej drodze do uniwersytetu”, ulegało fascynacjom z powodu wielkich odkryć geologicznych na Ziemi Lubuskiej, patronowało lubuskim zakładom przemysłowym, kontynuowało zainteresowania problemami młodzieży. Z ważniejszych inicjatyw redakcyjnych w 1966 roku wymienić należy współudział „Nadodrza” w teoretycznym przygotowaniu jednej z najbardziej udanych imprez artystycznych w Zielonej Górze, organizowanej z inicjatywy zielonogórskiego oddziału ZPAP-Sympozjum i Wystawy „Złote Grono” pn. „Przestrzeń i Wyrz”, która była wydarzeniem nie tylko na skalę ogólnopolską, odbiła się silnym echem także poza granicami kraju. Wypowiadali się wówczas na łamach kilku kolejnych numerów pisma, począwszy od nr. 17(136) wybitni poeci, krytycy, teoretycy sztuki. Trwały ślad tej imprezy (podobnie jak innych, organizowanych w Zielonej Górze) stanowią m.in. publikacje w „Nadodrze”.

Przez cały 1966 r. ukazywał się w piśmie cykl wywiadów z regionalnymi twórcami pod wspólnym tytułem „W pracowniach lubuskich twórców”, stanowiący dziś ciekawą kronikę rozwoju środowisk twórczych. Wprowadzono także specjalną rubrykę pt. „Propono waliśmy”. Dokonywano w niej przeglądu postulatów i propozycji zgłaszanych przez pismo w ciągu minionego dziesięciolecia, dotyczących różnych dziedzin życia w województwie, konfrontując je z ich realizacją. W ten sposób przejawiała się inspiratorska i organizatorska rola pisma, tak też realizowała jego program, sformułowany już w pierwszym „regularnym” numerze: „na dać naszym celem będzie rozwijanie aktywności kulturalnej, społecznej i ekonomicznej Nadodrza, tego wielkiego regionu, który tworzy się wzdłuż Odry, od Baltyku po Sudety” — z tą poprawką, że na systematyczne zainteresowania tak rozległym regionem nie starczyło już sił i możliwości. Nie było zresztą takiej potrzeby, ponieważ zarówno Wybrzeże jak i Dolny Śląsk posiadały już własne ambitne pisma społeczno-kulturalne i własne, zróżnicowane programy rozwoju społeczno-gospodarczego.

WIESŁAW NODZIŃSKI

## ODWRÓT OD LITERACKICH WZRUSZEŃ

Książka ta jest typową, pisaną na stopień, pracą naukową skupiającą swoją uwagę na badaniach empirycznych, których dążeniem jest ustalenie poziomu kultury literackiej absolwentów szkół średnich. Już jednak tak zakreślony tytuł pracy jest mylący, albowiem powinien być uzupełniony następująco: kultura literacka absolwentów szkół średnich miasta średniego i małych miasteczek (gdymy poszukiwać się tu klasyfikacją A. Wallisa). Ze wstępu bowiem dowiadujemy się, że autor przeprowadził swoje badania wśród populacji 1600 osób, z czego 90 proc. to młodzi ludzie ze wsi i małych miasteczek a 10 proc. z Zielonej Góry, Gorzowa i Legnicy. Tak sformułowany tytuł odpowiadałby dopiero treści pracy. Jest to sprawa wbrew pozorom niebagatelna, gdyż infrastruktura kulturowa małego miasta i dużego różni się w Polsce zasadniczo. A przecież autor uznał, że w swej próbie charakterystyki nie tylko umiejętności recepcyjne badanych, czyli tzw. kompetencje literackie, ale i ich aktywność literacką wyrażającą się w uczestnictwie w propozycjach kulturalnych, utrzymywanie kontaktów literackich, a nawet ekspresyjne formy tej aktywności. Tymczasem wiemy, że właśnie owa infrastruktura kulturowa, a właściwie dostępność do niej, warunkuje w dużej mierze sferę przyzwyczajenia i nawyków literackich, poziom tzw. upodobań literackich itp. Spodziewać się więc należy, że poziom i typ uczestnictwa w kulturze jest w ośrodkach tych

zgoła odmienny. Zatem oddziaływanie w kształceniu literackim edukacji pozaszkolnej przebiega inaczej, jest bardziej zdynamizowane.

Odrębny rozdział w swej pracy Marian Sinica poświęcił przygotowaniu teoretycznemu podjętych badań. Samo pojęcie: kultura literacka zrobiło dużą karierę w latach siedemdziesiątych, a to szczególnie za sprawą grupy badaczy skupionych wokół IBL-u i prof. Stefana Zółkiewskiego: K. Dmtruk, J. Lalewicz, O.S. Czernik, M. Zaleski, M. Hopfinger, T. Kostkiewiczowa. Szczegółowo opracowaną teorię tej dyscypliny przyniesli oni na teren badań praktycznych (zbadano elementy kultury literackiej Oświecenia czy też dwudziestolecia międzywojennego). To właśnie dzięki „szkole Zółkiewskiego”, analizując stan dotychczasowych badań i prób definicji, można uczynić rozróżnienie tej dyscypliny na kierunek historyczny (S. Zółkiewski używa określenia „wiedza o kulturze literackiej”, a więc sugeruje konieczność ustalenia jakiegoś stanu ujmowanego historycznie, występującego w określonych ramach czasowych), i kierunek instrumentalny. Podobnie czyni to M. Sinica rozróżniając te kierunki. Nawet dziwi, ale i cieszy całkowita zbieżność poglądów autora z moimi wyrażonymi w artykule nie cytowanym przez autora w swej książce, choć przez mnie udostępnionego pt. „Kultura literacka jako przedmiot nauczania”. Tak oto pisałem: „Ujęcia Janusza Sławińskiego, Michała Głowińskiego, a także Marii Straszewskiej nastawione są na indywidualną jednostkę obywatela z faktem literackim, na stan gotowości do tego kontaktu wyznaczony niewymiernymi jednostkami instrumentalnymi. Głowiński określa to mianem „zespołu przeświadczeń”, a Sławiński „systemem orientacyjnym”.

Odpowiedni passus w pracy M. Sinicy brzmi: „Inne ujęcie kultury literackiej (J. Sławińskiego, M. Głowińskiego, M. Straszewskiej) nastawione jest na indywidualną jednostkę kontaktującą się z treściami literackimi, na stan gotowości do tego kontaktu określony odpowiednimi umiejętnościami instrumentalnymi. Według J. Sławińskiego będzie to „system orientacyjny”, u M. Głowińskiego „zespół przeświadczeń”. (...) (s. 14) Zbieżności te i inne, nie mogą jednak

podważyć tezy, iż widzenie zagadnienia przez autora jest wieloaspektowe, oparte na bogatej literaturze z takich dyscyplin jak socjologia kultury, komunikowanie społeczne, teorie nauczania i wychowania, czytelnictwo, współczesne badania literaturoznawcze.

Pora teraz na kilka zdań o zbudowanej przez autora koncepcji badawczej. Sam pisze, że chce przeprowadzić rozważania w trzech aspektach: 1) badanie typu i poziomu kultury literackiej, 2) badanie kompetencji literackich, 3) Finalnym aspektem ma być (i jest) wskazanie zależności między poziomem kultury literackiej a literackimi kompetencjami. Dla osiągnięcia tych celów zastosowano dwie metody: opisowo-kwantytatywną oraz recepcyjną (odbioru treści i symboliki komunikatu kulturowego). Trzeba jednak dodać, że ta koncepcja badawcza M. Sinicy nie zatrzymuje się na rozpatrzeniu elementów kultury literackiej w izolacji. Tworzy więc syntetyczny wskaźnik poziomu kultury literackiej, na który składają się: indeks zakresu i częstotliwości kontaktów oraz typu czytanych lektur, indeks wartości gratyfikacyjnych literatury i indeks poziomu recepcji literatury. Elementom tym przyporządkowano punkty, dające globalny obraz poziomu kultury literackiej.

Nie miejsce tu jednak na szczegółowe omawianie procedury badawczej. Bardziej interesujące powinny być wnioski, ale czy są one nowatorskie? Praca ta jedynie potwierdza niski lub przeciętny poziom kultury literackiej badanych, o czym wszyscy wiemy. Wiemy też, że aktywność literacka absolwentów szkół zawodowych jest mniejsza niż szkół średnich. Np. w szkole średniej aż 78,6 proc. uczniów nie czytało czasopism literackich i artystycznych, 95,8 proc. nie uczęszczało do teatru. Najczęstszą formą aktywności literackiej było czytanie tekstów literackich (50 proc. osiągnęło stopień duży a tylko 9,9 proc. nie czytało). Otrzymane przez autora wyniki świadczą też, że po opuszczeniu szkoły ten negatywny proces się pogłębia. Zupełnie drugie wyniki dają badania form ekspresyjnych. Jest to udział od 1 proc. do 0,2 proc.

Umiejętności obcowania z dziełem literackim prześledził autor badając 120 osób na podstawie analizy pisemnych wypowiedzi na temat wcześniej zada-

nych do przeczytania utworów literackich (poezji i prozy).

Można by dyskutować nad doбором repertuaru przekazanego do analizy, jednak sądzę, że wyniki i tak byłyby podobne. W obu przypadkach przeprowadzono interpretację emocjonalną, semantyczną i formalną. Zarówno poziom recepcji powieści jak i poezji był średni (przedostatnie miejsce w czterostopniowej skali). Również dokonane badania wiedzy literackiej zatrważają. Badani nie potrafili np. umieścić chronologicznie niektórych epok (Barok, Młoda Polska), wielu nie potrafiło przyporządkować epoki żadnego nazwiska pisarza, natomiast znajomość twórczości współczesnych pisarzy z tzw. „kanonu lekturowego” nie wymaga komentarza. Oto w procentach liczba osób, która nie znała ani jednego tytułu napisanego przez wskazanych pisarzy: Putrament (83,3 proc.), Konwicki (81,7 proc.), Nowak (93,8 proc.), Mann (90,81 proc.), Camus (87,3 proc.), Dostojewski (89 proc.).

Odpowiedź na zasadnicze pytanie jakie postawił sobie autor: czy w procesie edukacji polonistycznej uczeń zostaje wyposażony w taki poziom kompetencji literackich, aby mógł skutecznie obcować z literaturą, brzmi: „Spośród badanej młodzieży aż 36,6 proc. cechuje się niskim i bardzo niskim poziomem kultury literackiej, a 60 proc. średnim. Rozmiar braków jest duży. Przede wszystkim rzuca się w oczy wysoki odsetek badanych (33,6 proc.) pozostających poza zasięgiem literatury, niski lub bardzo niski poziom wiedzy historyczno-teoretycznej literackiej, a także umiejętności recepcyjno-interpretacyjnych”.

Książka wydana starannie przez Wydawnictwo Uczelniane WSP metodą małej poligrafii (jedyny lapsus to błędne oznaczenie stron 19 i 20, co niespodziewanie przerywa tok narracji). Powinna ona stać się lekturą nauczycieli polonistów, których efekty pracy, jak widać są niewielkie. Również jest to diagnoza, którą powinni przeczytać organizatorzy życia kulturalnego.

ANDRZEJ BUCK

Marian Sinica: Kultura literacka absolwentów szkół średnich. Zielona Góra 1987 s. 281 nakł. 220-80 egz. cena 300 zł.



## Szkola w procesie integracji społecznej

Niestety, a szkoda, bez echa przeszła książka (wersja rozprawy doktorskiej) Krystyny Stech, młodego pracownika naukowo-dydaktycznego WSP w Zielonej Górze. Poświęcona jest ona tematu: roli szkoły i nauczyciela w integracji społeczeństwa Ziemi Lubuskiej. Promotorem tej pracy był prof. Andrzej Kwilecki socjolog, pracownik naukowy UAM w Poznaniu, autor wielu prac poświęconych socjologicznym aspektom Ziemi Zachodnich.

Proces tworzenia się społeczeństwa Ziemi Zachodnich związany był, według

Z. Dulczewskiego, z kształtowaniem się trzech typów więzi terytorialnych. I etap — tworzenie się więzi lokalnych, związanych z procesem formowania się społeczności lokalnej; II etap — tworzenie się więzi regionalnych, związanych z procesem kształtowania się zbiorowości ponadlokalnych (społeczności regionalnej); III etap — tworzenie się więzi z terytorium państwowym.

W procesie tym szczególną rolę odegrała szkoła i nauczyciel. W okresie pionierskim (1945—1947 r.) uruchomienie szkoły wymagało dużego wsparcia społecznego, ale zarazem jednocyfrowy rodziców i obywateli wokół spraw szkoły. Szkoła stawała się „wspólnym dziełem” lokalnej społeczności. Poprzez działalność oświatowo-wychowawczą i dydaktyczną umożliwiała niwelowanie odrębności kulturalnych oraz różnic w poziomie intelektualnym uczniów dzieci osadników z różnych ziem Polski.

Szczególne miejsce w systemie wychowawczym szkoły odgrywała również repolonizacja młodzieży autochtonicznej — nawiązywanie do miejscowych tradycji walk o polskość oraz kultywowanie lokalnego folkloru, obrzędów i zwyczajów. Szczególnie dotyczyło to szkół w byłym powiecie międzyrzeckim oraz terenie Babimojszczyzny. Wszystkie szkoły włączyły się ponadto w organizowanie imprez kulturalno-oświatowych w lokalnych środowiskach oraz przygotowanie imprez o charakterze politycznym (rocznice, święta narodowe itp.).

Z braku kwalifikowanych kadr aktywność społeczna nauczycieli w okresie pionierskim wyznaczało pełnienie przez

nich różnorodnych ról poza szkołą, w środowisku. I tak nauczyciel oprócz wypełniania codziennych obowiązków dydaktycznych i wychowawczych był często organizatorem imprez kulturalnych, działał społecznie w różnych organizacjach, inicjował przedsięwzięcia na rzecz lokalnej zbiorowości, był aktywną siłą polityczną.

Złożone były, co trzeba szczególnie podkreślić, materialne warunki funkcjonowania szkół oraz życia nauczycieli. Taki stan rzeczy rodził oczekiwanie na różne formy pomocy rzeczowej, finansowej i organizacyjnej ze strony lokalnego środowiska. Pomoc ta była uzależniona od możliwości władz samorządowych i miejscowej ludności. Nie była zbyt wielka, stąd też wiele zależało od własnej inicjatywy dyrekcji szkół i środowisk nauczycielskich.

W drugiej części swej pracy K. Stech omawia rolę szkoły w procesie tworzenia się społeczności regionalnej na Ziemi Lubuskiej. Udziela szerokiego odpowiedzi m.in. na następujące pytania: w jakim stopniu szkoła wpływała na kształtowanie się świadomości regionalnej, jak kształtowała stosunek emocjonalny do regionu, wreszcie w jaki sposób wyposażała w wiedzę i rozwijała zainteresowania młodzieży sprawami Ziemi Lubuskiej? Odpowiedzi tych autorka szuka m.in. w kontekście problemu Ziemi Lubuskiej jako regionu oraz w rozwoju ruchu regionalnego poprzez pryzmat działalności LTK.

Rozważania te zawierają również wyniki badań, jakie zostały przeprowadzone w oparciu o metodę monografii pro-

blemowej przy zastosowaniu głównie techniki badania dokumentacji, a także ankiety i wywiadu oraz analizy statystycznej. Badania ankietowe przeprowadziła K. Stech wśród 662 uczniów klas ósmych szkół podstawowych oraz klas trzecich różnych typów szkół ponadpodstawowych (liceów ogólnokształcących, techników zawodowych i zasadniczych szkół zawodowych). Ich celem było poznanie stosunku młodzieży do zamieszkiwanych miejscowości i regionu.

Z badań wynika kilka ważkich spostrzeżeń. I tak ogólnie pozytywny stosunek emocjonalny młodzieży do swoich miejscowości deklarowało 88 proc. badanych. Z faktu zamieszkiwania w województwie zielonogórskim było zadowolonych 47 proc. przy założeniu sytuacji nieograniczonej swobody wyboru miejsca zamieszkania. 72 proc. planuje podjąć pracę i mieszkać na terenie regionu. Skromna jest nadal wiedza młodzieży o regionie. I tu rola szkoły wydaje się być szczególnie ważna.

Wysoko należy ocenić poziom i wartość społeczną pracy K. Stech. W pracach bowiem poświęconych szkolnictwu w województwie zielonogórskim, udział szkoły w procesach integracji społecznej nie był szerzej analizowany. Lukę tę wypełnia właśnie K. Stech.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

Krystyna Stech: Rola szkoły i nauczyciela w integracji społeczeństwa na Ziemi Lubuskiej. Zielona Góra 1985, str. 222 nakł. 200+80 egz.

## KALENDARIUM

„GL”

## NA PRZYSZŁY ROK

Z okazji 35-lecia „Gazety Lubuskiej” redakcja wydała książkowy kalendarz na 1988 rok, bogaty we wszelkiego typu informacje, ciekawostki i praktyczne rady. Ta publikacja zawiera m.in. obszerny kalendarz imion, ponad 1600. Obok imion popularnych uwzględniono rzadkie imiona pochodzenia rosyjskiego, węgierskiego, niemieckiego, rzymskiego oraz imiona z mitologii i Biblii. Jedną czwartą stanowią imiona staropolskie i słowińskie.

Inną cenną zaletą publikacji jest uwzględnienie wielu ważnych dat i wydarzeń historycznych, związanych przede wszystkim z dziejami naszego regionu. Drugą część książeczki stanowią szkice o różnym charakterze. Jerzy Zysnarski pisze o „Kalendarzu dzieł, dziełach kalendarza”, „Starą i nową historię prasy lubuskiej” omawia Henryk Ankiewicz, nie zapominając też o naszym piśmie: „W roku 1957, w okresie znacznego ożywienia społecznego i kulturalnego, pojawił się w naszym województwie nowy tytuł prasowy „Nadodrza”. Była to inicjatywa grupy entuzjastów, ludzi o wyczulonym instynkcie społecznym, wywodzących się głównie ze środowiska dziennikarskiego „Gazety Zielonogórskiej”, a także rozgłośni radiowej i rozrzuconych po województwie młodych adeptów rzemiosła literackiego. Ta grupa inicjatorów znalazła poparcie w utworzonym wówczas Lubuskim Towarzystwie Kultury oraz u władz politycznych i administracyjnych. Pismo, z początku wychodzące na prawach jednoosobowej, finansowanej z wojewódzkiego budżetu, później miesięcznik, już na budzie „RSW Prasa”, dzisiaj dwutygodnik — od samego początku określiło się jako czasopismo społeczno-kulturalne, o charakterze regionalnym.

Dziś z perspektywy trzydziestolecia, wysoko należy ocenić rolę, jaką pismo to odegrało w procesie cywilizacyjnego i kulturalnego rozwoju naszego regionu, w jego kulturowym awan-

sie. Podejmując problematykę historyczną, socjologiczną, ukazując perspektywę rozwoju województwa, w dużej mierze przyczyniło się do przyspieszenia stabilizacji i integracji społecznej w sferze świadomości wielu grup ludności, szczególnie inteligencji, do której przede wszystkim było adresowane. Dla wielu ludzi, którzy przybyli tu z różnych stron Polski, często i świata, czyniło to ziemię bliższą, znaną, rodziną, swojską. Miało to aspekt szerszy niż tylko regionalny. W propagandowej walce z ostrą kampanią rewizjonistyczną pismo na miarę swoich możliwości odwoływało się do naszych historycznych i współczesnych praw do tej ziemi. Kiedy problematyka naszego regionu nie znajdowała się jeszcze na kartach podręczników szkolnych, „Nadodrza” często było niefalnym źródłem wiedzy o przeszłości Ziemi Lubuskiej, o jej wielowiekowych kulturalnych i ekonomicznych związkach z Macierzą.

Można powiedzieć, że „Nadodrza” od zarania występuje jakby w podwójnej roli. Samo będąc dowodem awansu kulturalnego regionu, stało się równocześnie animatorem, a nawet współorganizatorem wielu poczyną, stymulując dalszy rozwój środowiska Nadodrza. Będąc trybuną społeczną działaczy, popularyzowało i propagowało różne formy aktywności kulturalnej, zwłaszcza na tak zwanej prowincji lubuskiej, w małych miasteczkach i na wsi. Pismo preferowało i czyniło to nadal — przede

wszystkim postawy organicznikowskie, zaangażowane, obywatelskie. Bohaterami publikacji w „Nadodrze” stali się ludzie ambitni, niespokojni, zatroskani o przyszłość swojej najbliższej okolicy. Także tego typu postawy pismo nagradza swoją doroczną nagrodą.

Po tych miłych dla nas słowach warto zwrócić jeszcze uwagę na inne szkice, pomieszczone w Kalendarzu „GL”. Oto Jerzy Mischke dokonuje prezentacji obu województw lubuskich, Jan Kolasinski porusza zawsze aktualny temat „Prawo a życie”. Roman Siuda proponuje „Bieg po zdrowie”. Inni autorzy zajmują się modą, przepisami kulinarnymi, uprawą naszych ogródków, wędkarstwem, komputeryzacją, motoryzacją.

W sumie — wiele ciekawych, popularnie napisanych artykułów, pouczających i wyjaśniających różne dziedziny naszego życia. Zabrakło mi jednak w tej publikacji przypomnienia ludzi, którzy w poprzednich latach byli laureatami „Gazety”. Szkic im poświęcony byłby z pewnością cennym uzupełnieniem Kalendarza...

ZENON LUKASZEWICZ

Kalendarz '88 — Gazeta Lubuska, XXXV lat. Redakcja: Alicja Zatrzybowna. Projekt okładki i rysunki: Stanisław Ziarnowski. Wydawca: Redakcja „Gazety Lubuskiej” i Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy. Nakład 20 tys. egz. Cena 200 zł.

## „KOBRA”

Producent i scenarzysta Sylvester Stallone robi filmy, które się ogląda. Sprawne, z wartką akcją, zaskakującymi scenami. Począwszy od debiutującego „Rockyego”, poprzez „Rambo” do ostatniej „Kobry”, wysoko notowanej na oficjalnych i nieoficjalnych listach najlepszych filmów video.

Wyobraźmy sobie amerykańską ulicę, na parking przed wielkim sklepem spożywczym podjeżdża samochód. Wyśiada z niego mężczyzna i zdecydowanym krokiem idzie do sklepu. Jego twarz nie wyraża przyjemności, wręcz odpychającą. Człowiek potrafiący chaos, rozsypane towary, krew, krzyki. Głuche, bezbronne, zaskoczonych ludzi, niewinne dziecko, zakładnik. Po chwili supermarket zostaje otoczony przez policję, która nakazuje bandycie poddać się. W odpowiedzi słyszymy zwirowane zdania o „nowym porządku na świecie”, o tym, że „słabi muszą zginąć”. Sytuacja wygląda na beznadziejną. Ale do akcji wkracza przystojny policjant z oddziału specjalnego, Kobra. Sylvester Stallone, bo on kreuje postać tytułową, beznamiętnie żuje gumę, ale jednocześnie jest czujny, ostrożny i pewny siebie. Dostaje się do sklepu i spotyka twarzą w twarz z mordercą. Wy-

sluchuje jego racji, a po krótkim „wykładzie” na temat szaleństwa zabija „mordercę świata”. Sam wymierza sprawiedliwość, czym zraża do siebie swych kolegów i szefów.

Tymczasem, po prezentacji bohatera, jego umiejętności i zalety w tropieniu psychopatów, dowiadujemy się, że w mieście grasuje niebezpieczny morderca, zabijający ofiary ostrymi narzędziami, najczęściej siekierką. Reżyser filmu, Cosmatos, ciekawie buduje napięcie: wprowadza migawkowe ujęcia jakiejś grupy mężczyzn o „zakazanych” twarzach skupionych wokół źródła światła, trzymających w dłoniach nad głowami siekiery. Jednocześnie poznajemy atrakcyjną modelkę pozującą do zdjęć reklamowych. Po tych sekwencjach następuje scena brutalnego zabójstwa młodej dziewczyny. Morderców w chwili późniejszej widzi modelka. Ucieka, ale wyrok na nią jest już wydany. W momencie, gdy kończy swą pracę — zostaje napadnięta. Cudem unika śmierci, choć ginie fotograf i strażnik. Spłoszeni napastnicy uciekają, a dziewczyna opłakuje się policjant Kobra we własnej osobie. Dla bezpieczeństwa dziewczyna znajduje się w szpitalu, ale i tam mściwy psychopata szuka jej, mordując personel i pacjentów. I znowu bohaterka ucieka swemu oprawcy. Jest sprytniejsza. W ostatnim krytycznym momencie uruchamia system alarmowy — na korytarze wychodzą wszyscy, którzy chodzą mogą. Morderca odchodzi z tłumem.

Sytuacja okazuje się na tyle poważna, iż konieczne jest wywiezienie dziewczyny w inne bezpieczne miejsce. Zwiastuje, że bandyci muszą mieć w policji swego „człowieka”. Kobra z przyjaźniem wywoła modelkę do innego miasta. Towarzyszy jej kobieta-policjant, jak się okaże — zdradczyni. Tymczasem Kobra i dziewczyna spędzają miły dzień. Kobra, dotąd silny, prawie stalowy i niewzruszony, łagodnieje i staje nieśmiały. Na marginesie — Stall-

one i Brigitte Nielsen, aktorka grająca modelkę, są w życiu prywatnym małżeństwem. Brigitte, piękna długonoga Norweżka, do niedawna modelka w mediach, jest agentką reklamową, jest niezdolna na planie filmowym. Podobno rewalacyjnie zagrała w drugiej części „Gliniarza z Beverly Hills”.

Czwórka bohaterów spędza noc w podmiejskim motelu. Na pozór wszystko jest w porządku, ale przewidujący Kobra szykuje broń i granaty, zaś policjantka dzwoni do swych kamratów z wiadomością, gdzie się znajduje. I oto rozwija się scena widziana na początku filmu: skupieni wokół światła mężczyźni opuszczają swój posterunek. Każdy ze zbirów bierze do ręki broń, wsiada na motory i ogromna kawałkado rusza w drogę. Kiedy wstaje dzień, Kobra z towarzyszką jest gotów do wyjazdu. W ostatniej chwili zauważa nadjeżdżających motocyklistów. Wszyscy uciekają do domu. Obciążenie, strzelanina, kolejna ucieczka to jakby pogłos scen z westernów, tylko tam zamiast motocykli i samochodów były konie. Niewiele zaś zmieniły się namietności i sposoby walki. Kobra z dziewczyną wydostają się z planowanego już domu. Bohater prezentuje się bardzo efektywnie, stojąc na samochodzie i strzelając do wrogów. Gdy pojazd się psuje, uciekinierzy biegną do pobliskiej fabryki, może walcownicy. W niesamowitej scenie ognia i ciemności rozgrywa się decydująca pojedynki Kobry z psychopatami. Kobra nie oszczędza nikogo. Głinie zdradziecka policjantka, a morderca, już tyle czasu polując na modelkę, zostaje nadziany na hak i skierowany wprost do hutniczego pieca.

Film kończy obraz podobny do poprzedniego — „Ciała wrogów” i „Popsute maszyny”. Na jednym ocalałym motocyklu widać Kobrę ze swą piękną dziewczyną i odjeżdżają w chwałę zwycięstwa (po znokautowaniu znowu niezadowolonego kolegi z oddziału specjalnego).

FAN (MM)

## Jubileusze

1 września 1952 r. ukazał się pierwszy numer „Gazety Zielonogórskiej”, w całości redagowanej i wydawanej w Zielonej Górze. Od czerwca 1975 r. gazeta jako „Lubuska” jest dziennikiem PZPR i swoim zasięgiem obejmuje województwa gorzowskie i zielonogórskie. Wydanie sobotnio-niedzielne „GL” ukazuje się w nakładzie 225 tysięcy egzemplarzy. Wydawcą „GL” jest RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, które wydaje również nasz dwutygodnik oraz „Ziemię Gorzowską” i „Stilon Gorzowski”.

Z okazji jubileuszu 35-lecia zespół redakcyjny „GL” otrzymał wiele życzeń i gratulacji od swoich przyjaciół, czytelników oraz władz partyjnych i administracyjnych obu lubuskich województw. Podczas obchodów okolicznościowych najbardziej zasłużyli dziennikarze „GL” zostali udekorowani odznakami państwowymi, regionalnymi i odznakami RSW oraz dyplomami za długoletnią pracę redakcyjną. Z tej też okazji odbył się festyn, który zainaugurował Dni Zielonej Góry „Winobranie”. Po dobowy festyn odbył się w Międzychodzie. Również z tej okazji redakcja „GL” przygotowała wielki koncert estradowy, z którego dochód przeznaczono na budowę szpitala wojewódzkiego w Zielonej Górze i szkoły — pomnika Rodła w Dąbrówce. Kolegium Redakcyjne „GL” przyznało nagrodę 35-lecia „Gazety Lubuskiej” dr. nauk medycznych Albinowi Bandurskiemu z Zielonej Góry — chirurgowi, tłumaczowi książek medycznych. Doroczną nagrodę „GL” otrzymał Ryszard Flatek z Grabika, działacz społeczny. „Gazeta” przyznała również swoje wyróżnienia, które wręczyła: Zdzisławowi Gabertowi — dyrektorowi Wojewódzkiego Ośrodka Pośtupe Rolniczego w Lubniewicach; Romanowi Kaszkowi — artyście plastyk z Barlinka; Kazimierzowi Myszkowskiemu — dyrektorowi Zakładów Przemysłu Ociekacza-Warzyno w Międzychodzie i Leszkowi Frey-Witkowskiemu — nauczycielowi ze Świebodzina.

## Odznaczenia dla dziennikarzy

Z okazji jubileuszu — 35-lecia „Gazety Lubuskiej” i 30-lecia „Nadodrza” — wielu dziennikarzy, wydawców i drukarzy otrzymało odznaczenia państwowe i regionalne, a także dyplomy i nagrody. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski został udekorowany red. Jerzy Doczyński z „Gazety Lubuskiej”. Krzyżem Kawalerskim OOP otrzymali: Bernard Gattner i Zbigniew Pietkiewicz oraz red. Halina Ańska-Skarbek i red. Ryszard Rowiński z naszego dwutygodnika. Wśród odznaczonych brzo wymi Krzyżami Zasługi są również red. Leszek Hermanowicz i Elżbieta Waleńska z „Nadodrza”. Red. Michał Horowicz otrzymał odznakę „Za zasługi dla RSW Prasa-Książka-Ruch” a red. Wiesław Nodzyński — dyplom prezesa RSW.

Koleżankom i kolegom z „Gazety Lubuskiej” oraz wszystkim odznaczonym i nagrodzonym serdecznie gratulujemy i życzymy wszelkiej pomyślności.

## Dni Zielonej Góry

### — „Winobranie”

Od 5 do 13 września odbywały się imprezy kulturalne i sportowe z okazji Dni Zielonej Góry. Do stolicy środkowego Nadodrza przyjechało wielu turystów z kraju i zagranicy, którzy z dużym zainteresowaniem przyglądali się imprezom winobraniowym. Nam się wydaje, że wszystkie pokazy, turnieje, kiermasze były ciekawe, ale z największą przyjemnością uczestniczyliśmy w III „Bachanaliach fantastycznych”, V Winobraniowym Turnieju Tańca Twarzą, Dziecięcym Turnieju Tańca o „Pluszowego misia” i w koncertach



folklorystycznych. Na zakończenie Dni wzięliśmy udział w korowodzie winobraniowym, który w tym roku przygotował: reżyser — Gerard Nowak, autor scenariusza — Zdzisław Grubewski i scenograf — Jerzy Gorazdowski. Wśród wykonawców było ponad 2 tysiące aktorów, muzyków i członków amatorskich zespołów artystycznych.

## Laureaci nagród

### prezydenta

Każdego roku w czasie Dni Zielonej Góry Prezydent Miasta wręcza nagrody kulturalne. W tym roku nagrody otrzymała: Irena Bierwiazek-Polak, artystka plastyk — za twórczość artystyczną w zakresie grafiki i pracę pedagogiczną; Bronisław Bugiel, fotoreporter „Gazety Lubuskiej” — za długoletnią działalność w Lubuskim Towarzystwie Fotograficznym i osiągnięcia w zakresie fotografii; Zdzisław Grubewski, dyrektor Wojewódzkiego Domu Kultury — za wkład w rozwój kultury miasta, a szczególnie za współorganizację między narodowych festiwali pieśni i tańca; Narcyz Zolnowski, kompozytor, pedagog i koncertmistrz Filharmonii Zielonogórskiej — za pracę artystyczną i upowszechnianie muzyki; Społeczne Ognisko Artystyczne Lubuskiego Towarzystwa Muzycznego im. Henryka Wieniawskiego — za upowszechnianie kultury muzycznej wśród dzieci i młodzieży.

## Złot byłych

### żołnierzy

Mający swą siedzibę w Zaganu Krajowy Klub Byłych Żołnierzy i Drezdeńskiego Korpusu Pancernego (wslawione go w walkach o Łużycę) na początku września odbył swój zlot, tym razem w Chełmie. Tam, na Ziemi Lubelskiej, przed 42 laty formował się ten waleczny oddział. W zlocie wzięło udział blisko 600 kombatanów i członków ZBoWiD z całego kraju oraz przedstawiciele Ludowego Wojska Polskiego. We wsi podchełmskiej Sawina odsłonięto pomnik przedstawiający czołg T 34. Złotowi towarzyszyli spotkaniach byłych żołnierzy z młodzieżą szkolną i mieszkańcami województwa chełmskiego.

## Zaprosili nas

Komitet Organizacyjny Dni Zielonej Góry na imprezy winobraniowe. Towarzystwo Przyjaciół Zielonej Góry na otwarcie wystawy „Władysław Korcz — historyk, pedagog, popularyzator wiedzy”, Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich — Instytut Pamięci w Zielonej Górze na sesję naukową „Jeńcy wojenni w hitlerowskim systemie terroru i zbrodni”. Teatr im. Cyprjana Norwida na XVII Jeleniogórskie Spotkania Teatralne, Lubuskie Towarzystwo Kultury na posiedzenia Rady LTK. Redakcja „Gazety Lubuskiej” na otwarcie wystawy „35 lat z „Gazetą Lubuską”.

## nadodrza

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I p. oraz adres dla korespondencji: 65-063 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 49. Telefon: redaktor naczelny i sekretariat 708-35, sekretarz redakcji 38-13 oraz centrala 46-41 do 1 (dla telefonów wewnętrznych: Telex 043235). Redakcja: Halina Ańska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.), Michał Horowicz, Janusz Koniusz (red. naczelny), Małgorzata Kowalska-Masło.

## LISTY

### O erotyce

#### na łamach „Nadodrza”

Ostatnio otrzymaliśmy kilka listów, dotyczących publikowanych w „Nadodrzu” scen miłosnych w literaturze pięknej a także — relacji i reportaży o te matyce erotycznej. Oto fragmenty niektórych opinii.

#### SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

(...) Raz jeszcze powtórzę, że z pochwały moich wierszy przez Pana cieszę się, natomiast tym, że te wiersze zostały umieszczone w tym numerze „Nadodrza” co i Katarzyna Krzywonos, czuję się nie tyle może upokorzona, ale jakby obelżona. Mogłam być tego jej utworu (chodzi o „Etat zastępczy” — nasz przyp.) nie czytać, ale już od dłuższego czasu cierpię i oburzam się czytając „Nadodrza” (bardzo lubiam ten dwutygodnik i miałam go zawsze w swojej teczkę w kiosku). Irytowała mnie — czasem gołe baby, ale nie jest tem znowu tak zafascynana i wszystko co naprawdę piękne lubię. Przeczytałam więc ten „Etat zastępczy” bo chciałam się przekonać czy „Nadodrza” w tych scenach miłosnych sięgnęło już dna i właśnie sięgnęło. Tutaj to już i Wisłocka doznałaby szoku.

Jestem już bardzo starym człowiekiem (90 lat) i wolno mi już wszystko mówić wszystkim. Nauczycielką byłam 55 lat, czyli całe prawie życie. Ponieważ kocham swój zawód i również bardzo kocham Ojczyznę, więc starałam się uczyć dobrze, to znaczy tak kształtowałam charakter młodzi (dzieci nie uczyłam), aby z nich wyrósł ludźmi prawni, szlachetni, o czystych obyczajach i właściwym pojęciu moralności. Przed II wojną światową takich nauczycieli z powołania było wielu a wojna ta była sprawdzianem wartości polskiej młodzieży.

W tej ostatniej (w moim życiu) strasznej wojnie byłam żołnierzem przez całe 5 lat. Byłam to uczniem Angli. Krajowej szefem sztabu 81 po grzydzkiego — wielu moich uczniów było żołnierzami, moimi łącznikami. W tym moje dwie córki 11 i 12 latnie. Młodzież wówczas była piękna wewnętrznie, umiała kochać a także umiała być Ojczyznę i ideały.

To, co teraz piszę, pozornie nie ma związku z „Nadodrzem” i jego tematyką, ale tylko pozornie. Mam znajome w kioskach Ruchu, mówią mi jak łapczywie młodzież kupuje to pismo. Rozumiem przecież, że Redakcja właśnie o to chodzi, ale czy zawsze cel uświęca środki?

Pismo nosi nazwę społeczno-kulturalnego, jakąż to kulturę rozwija, kulturę uczuć? — ku’ ure seksu? W żadnym wypadku nie robi tego Katarzyna Krzywonos ani inni autorzy byle jacy, z których się czerpie. Mieszkam tyle lat w Gorzowie, znam wielu ludzi inteligentnych, wykształconych, którzy lubili „Nadodrza” i teraz mówią że jest to pismo pornograficzne. Jedną z lektur wyraziła się do mnie, że pismo się „zeszmuciło”. (...)

I jeszcze jedno. Czy któreś z Państwa jako rodzice pozwolą by aby to... przeczytały Wasze dzieci, nastolat-

ki, dorastające i dorosłe? — A takie właśnie czytają. Czytają narkomani, punkowie i inni. A ja mam starzejące się córki, o wnukach już nie mówię i nie mogłabym znieść, żeby to czytały. Z samego chociażby wstydu, że takie są kobiety i tacy są mężczyźni jak w tym opowiadaniu. Ta wielka mnogość pism, które wychodzą, mają chyba jakieś zadania do spełnienia, czegoś muszą nauczyć, coś przekazać, uświadomić człowiekowi, jakim powinien być, aby jego istnienie miało sens i aby żyć nie przyszkodziło, żeby się go nie wstydził.

A „Nadodrza”? — Przy tylu wspaniałych ludziach pracujących w redakcji ileż dla prawdziwej kultury może zrobić to pismo! Nauczyć pięknej miłości a jeżeli dzisiaj tyle się znaczenia przy pisuje seksowi — to nauczycie pięknego seksu. (...)

Teresa Przanowska  
Gorzów Wlkp.

#### SZANOWNNA PANI KRZYWONOS!

Bardzo mi się podobało Pani opowiadanie „Etat zastępczy” i chciałabym, żeby Pani więcej pisała podobne rzeczy w „Nadodrzu”. Chcę poznać Panią, po dobać mi się takie opowiadania.

Proszę napisać do mnie i podać swój adres domowy.

Czekam na list  
(podpis nieczytelny)  
K.R. (skr. po. 13)  
00-365 Wa szawa 37

Od redakcji: Korespondencję do Katarzyny Krzywonos prosimy kierować na adres redakcji.

#### SZANOWNNA PANI KATARZYNO!

Z dużym zainteresowaniem czytałem pierwszy odcinek Pani powieści „Etat zastępczy”. Drugiego odcinka niestety nie mogłem przeczytać, ponieważ następnego numeru „Nadodrza” nie mogłem zdobyć w żadnym kiosku w Gorzowie. (...)

Mam nadzieję, że otrzymam od Pani ten numer i życzę Pani dużo powodzenia w Pani dalszej pracy literackiej. A co mnie się spodobało w tej powieści, to będę mógł napisać, ale dopiero po przeczytaniu jej do końca. Przysięgam Pani najserdeczniejsze pozdrowienia.

Michał Kasprzycki  
Gorzów Wlkp.

Stały czytelnik (bez podpisu i adresu) nadesłał kartkę pocztową następującej treści:

„Nadodrza” nie jest czasopiśmie kulturalno-społecznym lecz czasopiśmie społecznego kochania — erotyki. Nie jestem wrogiem tej tematyki, ale do tego są inne czasopisma. Jeśli „Nadodrza” jest do tego powołane, to może zmienić nazwę np. na „Nudystryka”, „Sztuka kochania”, „Eros i Wenera”, „Amor i Wenus”. Wymyślić też ewentualnie swój nowy tytuł. Jeśli będą ciekawe artykuły społeczno-kulturalne nabywców „Nadodrza”, będzie dużo

## Cichy front

Z zainteresowaniem i uwagą przeczytałem artykuł zatytułowany „Cichy front” zamieszczony w nr 14 „Nadodrza”. Byłem bardzo uważny w lekturze tego artykułu, albowiem autor niezbyt się popisał na wstępie, popełniając dosyć istotne przeinaczenia.

Otóż autor pisze, cytując „podziemne grupy Wehrwofu (podkreślenie moje) liczni agenci Abwehry, SD i gestapo...”. Dalej dowiadujemy się o istotnej roli, jaką powierzono tym oddziałom, których

celem była dywersja na tyłach wojsk polskich i radzieckich na byłych terenach Rzeszy.

I dalej autor pisze: „Inicjatorzy powołania Wehrwofu (podkreślenie moje) z Reinhardem Gehlenem na czele...”. I po następnym zdaniu znowu się dowiadujemy: „Działalność Wehrwofu (podkreślenie moje) według zamierzeń Gehlena miała objąć...”. Następnie z sześciu punktów dowiadujemy się o szkoleniu, sabażu, szpiegostwie, oderwaniu byłych ziem Rzeszy od Polski. I tutaj rodzą się moje polemiki. Autor aż trzykrotnie użył terminu „Wehrwof”. Otóż śpieszę z wyjaśnieniem, iż „Wehrwof” jest to kryptonim niemieckiej akcji pacyfikacyjnej i wysiedleńczej na Zamojszczyźnie. „Wehrwof I” w okresie 23.06. — 15.07.1943 r. w pow. Tomaszów Lubelski oraz „Wehrwof II” w tym samym czasie w pow. Kraśnik i Biłgoraj. Tak więc ów termin został użyty prawie dwa lata wcześniej od zdarzeń opisywanych przez autora.

Zapewne a raczej na pewno autorowi chodziło o organizację „Werwolf” — wilkolak. I tu ciąg dalszy moich polemik. Otóż Werwolf został zorganizowany jesienią w roku 1944 a jego tworzenie brały udział — RSHA, NSDAP, Hitlerjugend i inne organizacje niemieckie. Pierwszy oddział Werwofu był obergruppenführer SS Pritz in. za aprobatą feldmarszałka Schönera zgodnie z jego taktyką, „spalanej ziemi”, następnie na Pomorzu Zachodnim i w Poznaniu. Dowódcą Werwofu był obergruppenführer SS Pritz mann.

Jak więc z powyższego wynika nie Gehlen był przede wszystkim inicjatorem powołania Werwofu, i na pewno nie stał na jego czele. Jest natomiast faktem bezpośrednim, że Gehlen osobiście opracował podstawowe zasady tego ruchu.

W ramach Werwofu w styczniu 1945 roku m.in. w Cieszyńcu i Nysie rozstrzelano w tym celu około 1 tys. członków partii hitlerowskich SS i SA oraz młodzież Hitlerjugend, którzy po prostu oczekiwali na przyszłych wyzwoleniach z rąk Rzeszy, by rozpocząć działalność po przejściu frontu. W ogóle Werwolf liczył 3—4 tys. osób. Praktycznie więc był tworem marginalnym. Zresztą ofensywa wojsk polsko-radzieckich wiosną 1945 r. zdezorganizowała sieć Werwofu i została do roku 1947 ostatecznie rozbita przez służbę bezpieczeństwa.

Jak więc widać, nie ma tu ani słowa o organizacji SD, o której wspomina autor. Albowiem SD (Sicherheitsdienst) była organem wywiadu i nadzoru politycznego wewnątrz partii (NSDAP), nad aparatem państwowym oraz całokształtem życia kraju. Tak więc nie mógł działać poza frontem.

Reszta artykułu jest po prostu pasjonującą lekturą, którą polecam wszystkim.

Z serdecznym pozdrowieniem

Janusz Filiczkowski  
Nowa Sól

## SPROSTOWANIE

W 18 numerze „Nadodrza” opublikowaliśmy dwa utwory poetyckie Zbigniewa M. Jellinka. Z winy korekty, dwa wersy „Tyle we mnie kobiecości / Tyle zdziewień pierwszej miłości”, które powinny otwierać utwór p. „Tyle we mnie kobiecości”, znalazły się na zakończenie pierwszego wiersza bez tytułu („Jak młode są te dziewczęta”).

Przepraszamy autora i czytelników.

REDAKCJA

